

MORZE

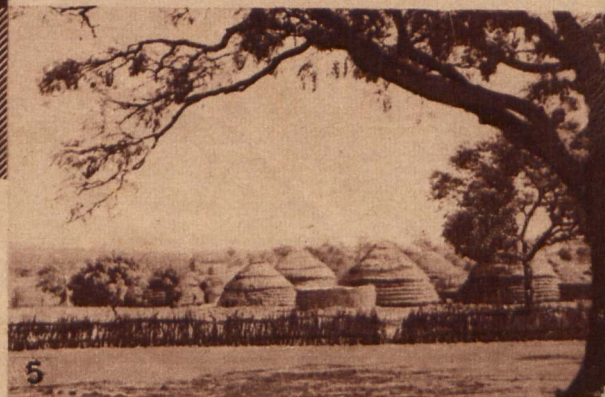
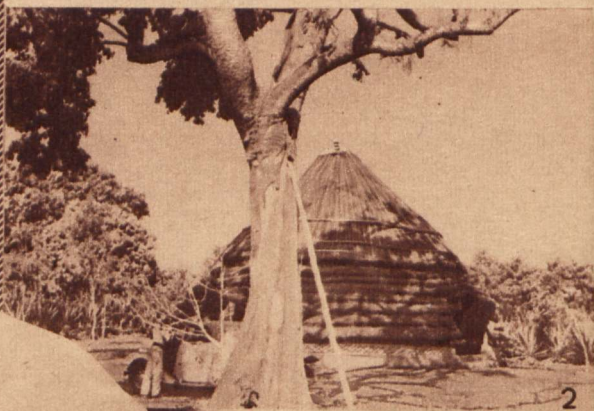


ZESZYT 4

KWIECIEŃ 1938

Daleko, za falą wód przeogromnych są kraje egzotyczne. I ludzie tam inni, pierwotni — i słońce palące i życie bujne. Człowiek biały zatknął już wszędzie nad tymi krajami znak swej władzy, by korzystać z bogactw, jakie te ziemie egzotyczne dają, by móc dostarczać fabrykom swego kraju koniecznego surowca.

Na ilustracjach fragmenty z życia w Gwinei Franc.: 1) kobieta z plemienia Fula; 2) murzyńska chata w Labé; 3 i 4) obrazki z targu; 5) wieś murzyńska.



B. SURALLO.

em. 2505/1938/4,

MORZE

ORGAN LIGI MORSKIEJ I KOLONIALNEJ

Nr. 4

Warszawa, kwiecień 1938 r.

Rok XV

POD PROTEKTORATEM PANA GENERALA BRONI
KAZIMIERZA SOSNKOWSKIEGO

ODBEDĄ SIĘ NA TERENIE RZECZYPOSPOLITEJ
POLSKIEJ W CZASIE od 7-go do 13-go KWIETNIA r. 1938

»DNI KOLONIALNE«

P O L A C Y!

Polsce brak surowców, niezbędnych dla gospodarczego rozwoju kraju. Płacimy corocznie ogromne sumy obcym, którzy panują nad źródłami surowców kolonialnych i ich handlem.

Dzisiaj Polska walczy na terenie międzynarodowym o wolny dostęp do kolonii zamorskich i o bezpośredni udział w produkcji i eksploatacji surowców. Żądania swe dokumentuje olbrzymim przyrostem ludności i powstającą stąd koniecznością rozbudowy przemysłu krajowego. Do realizacji tych zadań stanąć muszą wszyscy Polacy, zarówno w kraju jak i poza granicami Ojczyzny. Milionowe rzesze wychodźców, które od lat dziesiątków wnoszą olbrzymi wkład do gospodarstwa państw, stanowiących dzisiaj ich drugą Ojczyznę, pragniemy również pozyskać dla współpracy gospodarczej z Polską.

Liga Morska i Kolonialna wysuwa sprawę uzyskania kolonii na czoło zagadnień gospodarczych Polski. Dążenia te winni poprzeć wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, dając temu wyraz przez swój masowy udział w „DNIACH KOLONIALNYCH”. W manifestacjach tych — w imię najżywoźniejszych interesów gospodarstwa narodowego Polski — niechaj nikogo nie zbraknie, niechaj wszyscy mocnym głosem zawołają:

Żądamy wolnego dostępu do surowców!
Żądamy kolonij dla Polski!

G Ł Ó W N Y K O M I T E T W Y K O N A W C Z Y

Przewodniczący gen. STANISŁAW KWAŚNIEWSKI

Vice - przewodniczący: dyr. JAN DĘBSKI, dyr. MIECZYSLAW BOHDAN LEPECKI, min. ADAM LISIEWICZ, dyr. MICHAŁ PANKIEWICZ, dr. WIKTOR ROSIŃSKI; Sekretarz - rad. HUBERT SUKIENNICKI, Zast. sekretarza - TEODOR CYBULSKI; Skarbnik - MICHAŁ ŚWIRSKI, Zast. skarb.-dyr. KAZIMIERZ KOHLMAN; dr. STANISŁAW SUMIŃSKI

K, 420/60/47

Nakład 185.000

Cena pojedynczego numeru zł. 1.20

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBIN

ZAGADNIENIA SUROWCOWE W GENEWIE

WYWIAD Z P. ADAMEM ROSE WICEMINISTREM PRZEMYSŁU I HANDLU

Wobec wzrastającej coraz bardziej aktualności zagadnień surowcowych i emigracyjnych redakcja „Morza” zwróciła się do p. wiceministra przemysłu i handlu dr Adama Rose, jako wielokrotnego delegata Polski na konferencje, poświęcone tym zagadnieniom, prosząc go o udzielenie paru wyjaśnień z tej dziedziny oraz o skonkretyzowanie, jakie — Jego zdaniem — przyczyny spowodowały, że zagadnienia te stały się tak bardzo aktualne.

— Zagadnienie surowcowe — mówił p. min. Rose — nabrało ostatnio szczególnego znaczenia wskutek silnego zachwiania się równowagi stosunków ludnościowych i ogólno-ekonomicznych. Jak wszystkim wiadomo, a przede wszystkim, jak wiadomo członkom Ligi Morskiej i Kolonialnej, którzy znają te sprawy z wielu artykułów, zamieszczanych na ten temat w „Morzu”, wielkie bogactwa surowcowe są bardzo nierówno podzielone pomiędzy poszczególnymi krajami. Nie będę tu wchodził w przyczyny tego zjawiska, które są zresztą ogólnie znane, podkreślę tylko, że kraje, którym — czy to dzięki warunkom naturalnym czy też specjalnemu zmysłowi inicjatywy i wytrwałym wysiłkom — przypadły w udziale bogactwa surowcowe, mogły wytworzyć w ciągu wieków poważne zapasy kapitałów, a obecnie, posiadając w swych rękach surowce, stanowią czynnik decydujący w rozwoju gospodarki światowej. Z drugiej strony kraje, niedostatecznie zaopatrzone w surowce, muszą podejmować

wszelkie wysiłki, aby w jak największym stopniu wyzyskać swoje zdolności gospodarcze, zwłaszcza o ile ludność tych krajów wykazuje silny przyrost naturalny. W krajach tych problem uprzemysłowienia staje się zagadnieniem kapitałnym, a zapewnienie sobie surowców, niezbędnych dla rozwoju przemysłu, jest po prostu zagadnieniem życia i śmierci.

Jeżeli na wstępie zaznaczyłem, że zagadnienie surowcowe nabrało ostatnio szczególnej ostrości ze względu na zachwianie się równowagi stosunków ludnościowych i ogólno-ekonomicznych, to dlatego, że w okresie przedwojennym, w latach względnego liberalizmu gospodarczego dysharmonia pomiędzy faktycznym rozdziałem surowców z jednej strony, a zapotrzebowaniem krajów, które ich nie posiadały z drugiej, nie występowała nigdy tak ostro. Wymiana towarowa odbywała się wówczas względnie swobodnie, regularne krążenie kapitałów i dostępność kredytu międzynarodowego wyrównywała w pewnej przynajmniej mierze automatycznie powstające tarcia. Poza tym emigracja łagodziła ujemne skutki przeludnienia niektórych krajów. Dość powiedzieć, że 650 — 700 tysięcy emigrantów sezonowych i osiedleńczych, którzy wyjeżdżali rocznie z Polski w okresie przedwojennym, zasilają jej życie gospodarcze sumą bardzo poważną, bo sięgającą 400 — 500 milionów franków szwajcarskich rocznie. Dzięki temu nawet przed krajami przeludnionymi sprawa uprzemysłowienia nie stawała w formie kategorycznego nakazu, a zagadnienie dostępu do surowców nie występowało z obecną ostrością.

Dziś sytuacja gospodarcza uległa bardzo poważnym zmianom. Zapanował silny protekcyjizm handlowy oraz uciążliwa formalistyka celna, która w koloniach daje często specjalne przywileje wymianie z metropolią. Wreszcie terytoria, na których nadmiar ludności mógł uprzednio znaleźć pracę, zasilając jednocześnie życie gospodarcze kraju macierzystego, zostały w znacznym stopniu zamknięte dla emigracji.

Jak widzimy zatem, tak aktualna dziś sprawa surowców wiąże się ściśle z zagadnieniami demograficznymi i finansowymi i łącznie z nimi stanowi zasadniczą kwestię, której właściwe rozwiązanie na terenie międzynarodowym jest palące, jeżeli chcemy przywrócić tak konieczną dla dalszego normalnego rozwoju ludzkości równowagę gospodarczą.

Przechodząc do następnego, interesującego nas, zagadnienia, zapytaliśmy: „A jak się przedstawia w chwili obecnej sprawa surowcowa i emigracyjna w programie prac Ligi Narodów?”

— Zagadnienie dostępu do surowców — odpowiedział p. min. Rose — stanowiące niejednokrotnie przedmiot studiów Ligi Narodów już niemal od pierwszych lat jej istnienia, w r. 1935 powróciło znowu pod obrady Ligi, kiedy minister spraw zagranicznych W. Brytanii, sir Samuel Hoare, stwierdzając, że problem surowcowy posiada charakter



Gwinea francuska — orzechy ziemne



Ładowanie towarów z wagonów na statek w Dakarze

raczej gospodarczy, niż polityczny i terytorialny, podniósł, że problem ten powinien być dokładnie zbadany, aby usunąć uzasadnione w pewnej mierze obawy państw, nie posiadających kolonii, przed monopolistycznymi i ekskluzywnymi posunięciami państw kolonialnych w tej dziedzinie. Mimo tak ostrożnego postawienia sprawy surowców przez przedstawiciela największego imperium kolonialnego, nie można już było przejść nad nią do porządku dziennego; musiała się nią zająć i Liga Narodów, która w styczniu r. 1937 powołała specjalną komisję surowcową. Komisja ta stanęła wobec narzuconych jej z góry pewnych ograniczeń, a przede wszystkim ograniczenia jej prac do strony czysto ekonomicznej zagadnienia surowcowego. Na podstawie klasyfikacji samych surowców, wykazów ich produkcji i producentów, opracowanych przez Sekretariat Ligi, Komisja przystąpiła do pracy w marcu 1937, przy czym od udziału w jej pracach uchyliła się Rzesza Niemiecka i Italia.

Wynikiem tej pierwszej sesji pracy komisji był raport, który, ustalając, że przedmiotem dalszych badań mają być zarówno surowce przemysłowe, jak i żywnościowe, i to bez względu na to czy pochodzą z terytoriów kolonialnych i mandatowych czy z innych krajów, podkreślał, że badania te mają dotyczyć czterech zasadniczych zagadnień, a mianowicie: ograniczeń, dotyczących podaży surowców, zasady drzwi otwartych w koloniach i na terytoriach mandatowych przy jednoczesnym przestudiowaniu warunków ogólnej wymiany handlowej łącznie ze sprawą dewiz, clearingu, kontyngentów itp., stosunku podaży i popytu poszczególnych

surowców w zależności od zmian koniunkturalnych i wreszcie sprawy surowców zastępczych.

W sprawach tych została rozpisana ankieta do wszystkich członków komisji. Wyniki ankiety stały się podstawą dalszych prac komisji, które wykazały, że problem surowcowy w każdym niemal kraju ma oblicze zupełnie odrębne, co też musiało nadać ostatecznym wynikom prac komisji surowcowej charakter tylko ogólnych stwierdzeń. W każdym razie, aczkolwiek komisja stwierdziła, że udział kolonii (wyłączając dominia, Indie Bryt.), w produkcji surowców wyraża się cyfrą 3%, to jednak liczbą tą nie można operować, gdyż w wypadku, gdy idzie o rolę kolonii, jako źródła surowców dla państw trzecich, kwota produkcji jest dużo mniej ważna od udziału surowców pochodzenia kolonialnego w handlu międzynarodowym, który wynosi już 9.7%, przy czym, jak zaznaczyła to sama Komisja, nie należy zapominać, że cyfra ta wyraża tylko obecny stan rzeczy, a nie olbrzymie potencjalne możliwości rozwojowe, istniejące w koloniach. Możliwości te mogłyby być wyzyskane na rzecz państw, które dziś skarżą się na brak surowców, dlatego też należy traktować z jak największą uwagą te wnioski, zawarte w raporcie komisji surowcowej, które zmierzają do lepszego wykorzystania surowców, dzisiaj należycie jeszcze nieeksploatowanych. Raport komisji wysuwa też szereg środków międzynarodowych, które należało by zastosować, aby ożywić obroty między poszczególnymi krajami.

Jeżeli chodzi o zagadnienie emigracyjne, to według mego zdania, praca ta jest jeszcze trudniejsza,

gdyż jest mniej przygotowana pod względem teoretycznym. Sekretariat Ligi zajmował się od lat sprawami gospodarczymi, a Międzynarodowe Biuro Pracy — ochroną robotników i emigrantów za granicą, ale nikt nie zajmował się międzynarodowym zagadnieniem demograficznym i zagadnienie to musi być jeszcze gruntownie opracowane. Tym niemniej raport, przedłożony przez Komisję Migracyjną Międzynarodowego Biura Pracy, ma duże znaczenie, jako pierwsza od wielu lat próba potraktowania zagadnienia w sposób praktyczny, to jest z wyraźnym celem ożywienia międzynarodowego ruchu migracyjnego. Raport ten ma jeszcze tę dobrą stronę, że napelnia optymizmem, gdyż wykazuje jasno, że istnieją jeszcze kraje i obszary, wymagające imigracji dla swego rozwoju gospodarczego i że nie ma zasadniczych rozbieżności interesów pomiędzy państwami, mającymi nadmiar ludności, które szukają terenów emigracyjnych, a państwami, posiadającymi tereny dla emigracji. Z raportu tego wynika ponadto jasno, że największe widoki rozwojowe posiada obecnie emigracja osiedleńcza. W chwili, gdy rozmawiamy, nie ukończyła jeszcze swych prac Konferencja Emigracyjna, zwołana przez Międzynarodowe Biuro Pracy, toteż nie mogę się wypowiedzieć o wynikach jej prac.

— A jaka jest rola Polski w opracowywaniu zagadnień surowcowych i emigracyjnych na terenie międzynarodowym?

— Udział Polski w pracach Ligi Narodów nad tymi zagadnieniami był od początku bardzo żywy, co było zresztą nakazem naszej rzeczywistości. W Polsce bardziej jeszcze, niż w jakimkolwiek innym kraju, zagadnienia ludnościowe, surowcowe i finansowe łączą się ściśle w jeden potężny spłot, którego właściwe i szybkie rozwiązanie zadecyduje o naszych możliwościach rozwojowych. Dlatego też delegacja polska w Lidze Narodów z jednej strony podkreślała stale łączność tych wszystkich zagadnień i konieczność wspólnego ich badania, opracowania i rozwiązania, z drugiej zaś brała czynny udział w pracach poszczególnych komisji i podkomisji, występując niejednokrotnie z twórczą inicjatywą. M. in. delegacja polska zwróciła słuszną uwagę, że główną trudność w równomiernym udziale wszystkich krajów w światowych bogactwach surowcowych, stanowi nie tyle takie, czy inne ograniczenie eksportowe, bo dostęp handlowy istnieje prawie do wszystkich surowców, ale to, że nie wszystkie kraje mają dostateczne możliwości finansowe na opłacanie potrzebnych surowców, skąd też powstaje dążność do samowystarczalności gospodarczej, dążność, którą przedstawiciele wielu krajów w Lidze Narodów uznali za jedną z głównych przyczyn obecnych trudności ekonomicznych na terenie międzynarodowym, ale która jest przecież koniecznością nie tylko ze względu na obronność kraju, ale przede wszystkim, jako samoobrona gospodarcza krajów o słabszym organizmie. W dzisiejszych warunkach potrzebne surowce kupować trzeba za dewizy, a dewizy te wobec ograniczenia ruchu emigracyjnego i dopływu kapitałów z zagranicy można osiągnąć jedynie dzięki wzmożeniu eksportu. Jeżeli jednak weźmiemy dla przykładu Pol-

skę, to wobec tego, że większość naszego eksportu idzie do krajów europejskich, które nie tylko chcą od nas kupować, ale i nam sprzedawać, uzyskanie z tego źródła nadwyżki dewizowej staje się coraz trudniejsze, a surowce zakupujemy wszakże przeważnie w krajach zamorskich, które kupują znów u nas bardzo niewiele.

Tak więc wszystkie trzy źródła podniesienia aktywnych pozycji bilansu płatniczego zawodzi, a ma to miejsce nie tylko u nas, ale w mniejszym lub większym stopniu i w innych krajach Europy. Nic też dziwnego, że trzeba myśleć o zmniejszeniu pozycji pasywnych, choć jest to gorszy sposób równoważenia bilansu płatniczego i choć odbija się to szkodliwie zarówno na rozwoju gospodarczym kraju importującego, zmuszonego ograniczyć nie tylko import artykułów spożywczych, ale i surowców i narzędzi produkcji, jak i na rozwoju krajów eksporterskich, naruszając ogólną równowagę gospodarczą. To właśnie stanowisko delegacji polskiej, mocno podkreślane przy każdej sposobności, wpłynęło na sformułowanie wielu konkretnych wniosków Komisji Surowcowych, zmierzających do ożywienia obrotów międzynarodowych.

W odniesieniu do zagadnień emigracyjnych delegacja polska podniosła trudności, hamujące rozwój emigracji nawet w razie zniesienia dzisiejszych zakazów i ograniczeń, a mianowicie brak środków kapitałowych, koniecznych dla finansowania emigracji, obliczonej na większą skalę. Delegacja polska wysunęła też konieczność zorganizowanej akcji międzynarodowej, która jedynie mogłaby rozwiązać te trudności.

Kończąc wywiad, zapytujemy jeszcze p. min. Rose, czy i jakie istnieją możliwości pomyślnego załatwienia omawianych zagadnień. W odpowiedzi na to p. min. Rose podkreślił, że lat ubiegłych nie należy uważać za stracone, gdyż dały one wiele cennego materiału doświadczalnego. Jeżeli zaś chodzi o dalsze poczynania, to aby były skuteczne, trzeba przede wszystkim zerwać z dotychczasowymi metodami zwalczania poszczególnych ujemnych zjawisk, zachodzących w życiu międzynarodowym, a trzeba objąć równocześnie całość problemów, ściśle z sobą związanych i stanowiących nierozrwalną całość. Jeżeli bowiem z całym przekonaniem możemy stwierdzić, że wiele podejmowanych dotychczas środków było słusznym, to jednak powinny być traktowane, jako ogniwa jednego łańcucha i muszą być realizowane, jako nierozłączne fragmenty jednego wielkiego programu, zmierzającego do ożywienia obrotów międzynarodowych we wszystkich dziedzinach, programu, który przedstawiałby dla wszystkich państw korzyści daleko większe od ciężarów, które by na nie nakładał. Myślę, że droga ta, choć pozornie trudniejsza, doprowadziłaby o wiele łatwiej i szybciej do międzynarodowej współpracy gospodarczej.

Polska, stojąca wiernie na straży pokoju i która też na drodze pokojowych rozmów i układów międzynarodowych szuka zaspokojenia swych najżywniejszych potrzeb gospodarczych i społecznych, wszelkie tego rodzaju wysiłki zawsze niewątpliwie gotowa będzie popierać.

Wywiad przeprowadził: J. LEWANDOWSKI

Polski pominiąć nie można

Wojny kolonialne, tak jest, wojny o kolonie, zadały śmiertelny cios Lidze Narodów, zmieniły do gruntu układ sił politycznych na świecie i w Europie. Jakże inaczej potoczyłby się rozwój wydarzeń politycznych ostatnich czasów, gdyby nasyceni i przesyleni umieli np. ocenić i zrozumieć, że przeludniona Italia, pozbawiona surowców przemysłowych i środków żywności musi być dopuszczona do korzystania z bogactw naturalnych świata, do korzystania z pustych, a rozległych przestrzeni. Egoizm posunięty do granic skąpca, starzejącego się skąpca, który sam nie jest w stanie wykorzystać posiadanych bogactw, ani ich nawet obronić, dyktowały „mężom stanu“ i dyktują politykę czasów dzisiejszych.

Tej to polityki owoce zbiera obecnie Europa, w której największą potęgą, dzisiaj jeszcze kontynentalną, stały się Niemcy. Obludna doktryna, pod którą kryły się najbardziej egoistyczne interesy, przekreśliła realne i dalekowzroczone plany ówczesnych ministrów spraw zagranicznych, największych mocarstw kolonialnych: Anglii i Francji. Obalono ich pod obludnym hasłem papierowej obrony zasad zawartych w pakcie Ligi Narodów, dla których nie chciano zresztą nigdy poświęcić kropli krwi. Rozdzierano szaty nad losem Abisynii, zapominając, na

jakiej to drodze powstały dotychczasowe imperia kolonialne, zapominając, co najważniejsze, że dawny, przedwojenny imperializm kolonialny wyrósł nie z biedy, przeludnienia i braku przestrzeni.

Toż przecież nadmiar bogactw — kapitałów i środków walki pchał narody do poszukiwania nowych rynków zbytu, źródeł surowców, do opanowania politycznego i gospodarczego nowych ziem. A gdy wszystko już zagarnięto, gdy podzielono pomiędzy nieliczne narody glob ziemski i jego bogactwa, łatwo jest dzisiaj nawoływać do poszanowania „świętego prawa własności“.

Z innych przyczyn zrodziły się dążenia kolonialne narodów biednych, takich państw, jak Polska czy nawet Italia. Nie z nadmiaru kapitałów, zgromadzenia w swoim ręku olbrzymich zapasów złota, nie z żądzy panowania nad coraz to innymi ludami, nie z chęci zmonopolizowania w swoim ręku kontroli nad produkcją surowców, liniami komunikacyjnymi itd., wyrosły dążenia kolonialne narodów głodnych, wyrastają żądania kolonialne Polski. Twarda rzeczywistość, brak dostatecznych warunków życia i rozwoju na własnej ziemi — narodu o wielkim przyroście naturalnym, narodu, który ma prawo do życia pełnego, który chce i ma prawo zapewnić wszystkim swoim synom ludzkie warunki



Defilada wojsk kolonialnych przed Mussolinim

bytu — oto są przyczyny, które dyktują coraz nieubłaganej kierunek dążeń Polski.

Ta rzeczywistość nasza znana jest na ogół na świecie, powinna być dobrze znana naszym politycznym przyjaciółom. Nie zaniedbujmy żadnej okazji, by ją dokumentować na forum międzynarodowym. Nie zaniedbujmy żadnego zjazdu o charakterze międzynarodowym, by uzasadnić życiowe potrzeby Polski. Czyśmy opinię świata zdobyli dla naszych potrzeb? Zrobione zostało na ogół, zwłaszcza w ostatnich czasach, dużo ale daleko nam jeszcze do tego stanu, który np. osiągnęli Niemcy w urabianiu opinii wielu krajów Europy i Ameryki. Zapewne, Niemcy, jako dawne państwo kolonialne, mają ułatwione prowadzenie propagandy kolonialnej zarówno w kraju, jak i za granicą. Zapewne — na rzecz zadań kolonialnych Niemiec pracuje w szybkim tempie rosnący potencjał ich siły zbrojnej na lądzie i morzu. Ale nie zapominajmy, że my dotąd nie rozwinęliśmy potrzebnej akcji i propagandy, że innym byłoby oddziaływanie opinii polskiej na opinię obcą, gdybyśmy ujawnili taką siłę naszych dążeń i naszej niezłomnej woli, jakim dało wyraz społeczeństwo polskie w szeregu innych wielkich spraw znaczenia narodowego i państwowego.

Sceptycy i ludzie mędrkujący małego ducha, którym się wydaje, że nie stać nas na walkę i ofiarę w imię lepszej przyszłości, ale stać natomiast na niszczenie sił żywotnych, na ofiary płacone dnia każdego przez miliony niedojadających i nieodzia-nych Polaków, ci wszyscy zamilknąć muszą, by nie osłabiać potężniejącego wciąż głosu Polski, domagającej się należytego udziału w korzystaniu z bogactw naturalnych świata. Pozyskać opinię świata, przekonać nawet wrogów o słuszności swoich zadań jest rzeczą potrzebną i konieczną, nawet wtedy, gdy jest się przekonany, że czeka nas długa i ofiarna walka. Wszak nawet w czasie walki orężnej przeciwnicy nie zaniedbują narzędzia propagandy, która ma złamać wolę oporu, pozyskać opinię neutralnych. Dlatego też w naszych dążeniach kolonialnych, tak jeszcze niezrozumiałych dla wielu w Europie, mamy dużo do zrobienia.

Ale nikt z nas nie ma złudzeń chyba co do tego, by nasze dążenia kolonialne mogły być zaspokojone na drodze samej propagandy. Nikt też chyba nie ma złudzeń, by podjęta na terenie Ligi Narodów

akcja w sprawie surowców przyniosła Polsce praktyczne rozstrzygnięcia. Dotychczasowe wyniki prac w tej dziedzinie, jakkolwiek bezwątpienia nagromadziły wiele cennego materiału, oświectliły wszechstronnie sprawę, nie przyniosły i nie przyniosą żadnych praktycznych rezultatów. Jeszcze raz ci wszyscy, którzy rzekomo chcą ratować powagę i znaczenie Ligi Narodów, przyczyniają się do utrwalenia przekonania o bezsilności tej instytucji. Rola Ligi Narodów w odniesieniu do tego problemu, tak żywotnego dla Polski, będzie zdaje się taką samą, jaką była np. w przedmiocie uregulowania stosunków polsko-litewskich. Na innej drodze i z pomocą innych środków Polska po wielu, wielu latach prób i wyczekiwań, musiała szukać rozwiązania tego problemu. Nie ludzimy się też co do tego, że podjęcie w Genewie spraw surowcowo-kolonialnych było tylko chwilowym manewrem taktycznym, obliczonym na „rozbrojenie“ moralne, uspokojenie tych, którzy najgłośniej wołają, którzy są groźni w swoich aspiracjach kolonialnych.

My dotąd głośno nie wołamy, grozić nikomu nie chcemy. Ale to nie znaczy, by nasze potrzeby i konieczności nie wołały same przez się głosem najsilniejszym, bo głosem Narodu, który poczyna się już dusić z przeludnienia, głosem Narodu, którego rola, zwłaszcza wobec ostatnich wydarzeń w Europie, powinna być w ich własnym interesie zrozumiana przez tych wszystkich, którzy widzą konieczność utrzymania równowagi sił jedynie gwarantującej pokój. My nikomu nie grozimy! Ale niechże z tego naszego stanowiska nie wypływa przeświadczenie, że potrzeby państwa 34 milionowego można traktować jako postulaty teoretyczne, jako rodzące się aspiracje, które kiedyś tam mogą być wzięte pod rozwagę.

Sprawy kolonialne weszły już na porządek dzienny nie teoretycznych rozważań, a rozstrzygnięć i decyzji. Od ich ostatecznego załatwienia zależy stabilizacja stosunków w świecie i powrót do uzdrowionej gospodarki międzynarodowej. Przy rozstrzygnięciu tych spraw Polski pominąć nie można, Polska pominąć się nie pozwoli, gdy taka będzie wola Narodu, która jest zawsze najsilniejszym oparciem w akcji i walce dla kierowników polityki zagranicznej.

J. DĘBSKI

Zarząd Główny Ligi Morskiej i Kolonialnej na posiedzeniu w dniu 17 marca r. b. uchwalił rezolucję solidaryzującą się z całym społeczeństwem polskim, domagającym się kategorycznie normalizacji stosunków polsko - litewskich w oparciu o wiekową tradycję współzycia tych dwóch narodów.

Na zebraniu tym również była obszernie omawiana sprawa wykorzystania litewskiego portu w Kłajpedzie przez nasze ziemie północno-wschodnie tak odległe od polskich portów Gdyni i Gdańska.

Polska musi mieć kolonie

Akcja kolonialna Ligi Morskiej i Kolonialnej zatacza coraz to szersze kręgi wśród społeczeństwa polskiego. Społeczeństwo zaczyna rozumieć i doceniać znaczenie własnych kolonij zamorskich dla gospodarstwa narodowego Rzeczypospolitej.

Wołania nasze o kolonie znajdują też coraz nowych zwolenników, którzy wstępują do naszych szeregów, aby wspólnie walczyć o sprawiedliwy udział Polski w koloniach zamorskich.

Zdobycie przez Polaków własnych terenów kolonialnych — ma olbrzymie znaczenie dla rozbudowy naszych warsztatów pracy i stanowi o wyzwoleniu się gospodarczym naszego kraju od zbędnego pośrednictwa przy nabywaniu koniecznych dla nas surowców i towarów kolonialnych.

Wskazujemy wyraźnie na Afrykę Murzyńską, która może dostarczyć nam wszystkie bez mała surowce i towary kolonialne, jak: bawełnę, nasiona oleiste, skóry, kawę, kakao, ryż, kaczuk, rudy, etc. Tam musimy uzyskać dla siebie tereny. Tam również powinna iść nasza ekspansja. Tam stwarzać powinniśmy własne źródła niezbędnych dla nas surowców.

Rola kupca i przemysłowca polskiego w tej akcji będzie decydująca, jeśli chodzi o organizowanie przedsiębiorstw polskich w koloniach i nawiązywanie bezpośredniego handlu Polski z Afryką.

Wspominaliśmy niejednokrotnie na tym miejscu, że z powodu braku własnych polskich źródeł surowcowych i własnego handlu na terenach kolonialnych oraz dostatecznej własnej żeglugi morskiej — płacimy obcym rok rocznie setki milionów złotych. Musimy z tym skończyć, wyczerpuje to bowiem nadmiernie nasz kraj i utrudnia jego należyte zagospodarowanie.

Nasza walka o kolonie — powinna się stać walką całego społeczeństwa polskiego! Wszystkim nam jednakowo zależy na tym, ażeby nie pracować na obcych, a tylko i przede wszystkim na siebie samych!

Robotnik, rolnik, inteligent, przemysłowiec i kupiec polski we wspólnym interesie rozwoju życia gospodarczego Polski — rozbudowy warsztatów pracy i zatrudnienia gotowych do pracy milionów rąk — powinni poprzeć nasze wysiłki w kierunku zapewnienia krajowi taniego surowca. Oszczędności natomiast uzyskane na tym będą mogły być zużyte na rozwój przemysłu i handlu.

Aby się zorientować, o jak wielkie sumy tu chodzi, wystarczy przytoczyć straty, jakie nasze gospodarstwo narodowe ponosi na jednym tylko odcinku gospodarczym, a mianowicie w żegludze morskiej. W roku 1936 zapłaciliśmy za sam tylko przewóz ładunków morskich 234 miliony złotych. Nasza własna żegluga morska w tymże roku 1936 zdołała przewieźć z tego około 13%, a więc w stosunku do bandery obcej zainkasowała zaledwie około 30 milionów złotych — resztę to jest około 204 miliony złotych zainkasowały w roku 1936 obce linie okrętowe i trampy.

W roku 1937 sprowadziliśmy do kraju surowców

i towarów kolonialnych za przeszło 600 milionów złotych. Z tego przynajmniej 1/3 przepłaciliśmy właśnie dlatego, że nie posiadamy ani własnych źródeł tego surowca ani też dostatecznie rozwiniętych bezpośrednich stosunków handlowych z terenami zakupu.

Wystarczy — aby z całą energią zająć się sprawami surowcowo-kolonialnymi i zmienić obecną sytuację na lepszą.

Nie można pozwolić na to, aby społeczeństwo trwało w bezczynnie i biernie patrzyło, co Rząd w tym kierunku robi. Wielki wysiłek Rządu Rzeczypospolitej sprawił, że powstała Gdynia, że się rozbudowuje polska żegluga morska, że powstaje Centralny Okręg Przemysłowy. Państwo nie może zrobić za nas wszystkiego. Powinniśmy wykrzesać ze społeczeństwa maksimum siły i woli i wspomóc państwo.

W zakresie naszych spraw surowcowo-kolonialnych Rząd również wszczął akcję na terenie międzynarodowym. Nasz minister spraw zagranicznych poruszył sprawę dostępu Polski do surowców kolonialnych w Lidze Narodów, a także zwrócił uwagę Ligi Narodów na to, że i dla Polski nie jest obojętne, kto zasiada w komisji mandatowej (nadzorującej sprawowanie mandatów nad b. koloniami niemieckimi i otomańskimi).

My, zorganizowani w Lidze Morskiej i Kolonialnej, musimy pamiętać o tym, że aby należycie i w pełni wykorzystać nasz dostęp do morza — powinniśmy z całych sił dążyć do uzyskania kolonij dla państwa.

Nie chcemy, aby Polak emigrował i poniewierał się po świecie. Chcemy, aby Polak pozostawał w Polsce i tutaj, u siebie, miał pracę.

Kolonie potrzebne nam są dla zdobycia niezbędnego dla rozwoju gospodarczego Polski surowca.

Niech więc „Dni Kolonialne“, jakie organizuje Liga Morska i Kolonialna w okresie od 7 do 13 kwietnia r. b. będą wobec całego świata świadectwem zdecydowanej woli całego społeczeństwa polskiego — że **Polska musi mieć kolonie w Afryce.**

Dr W. ROSIŃSKI

Przewodniczący Wydz. Kolonialnego Zarz. Gł. LMK



Kakao



ZAGADNIENIE EMIGRACJI

Ruchy migracyjne przechodziły, o ile chodzi o politykę krajów imigracyjnych i emigracyjnych, szereg faz.

Pierwsza z nich charakteryzuje się wysoce aktywnym stosunkiem państw imigracyjnych do tych ruchów, wywołanych, jeśli się można tak wyrazić „głodem ludności”. Zasadniczym momentem były potrzeby państw imigracyjnych, dla których sprawa zaludnienia niezmiernych, lecz pustych terytoriów, wciągnięcia ich w zasięg cywilizacji i kultury stała się zasadniczym problemem państwowym. Znane jest w tym względzie oświadczenie znakomitego męża stanu i twórcy Konstytucji argentyńskiej, Jana Baptysty Alberdi-Gobernar es poblar „rządzić to zaludniać”. Zasadzie tej hołdują przez długi okres czasu Stany Zjedn. Ameryki Północnej.

Państwa imigracyjne prowadzą w tym celu daleko idącą propagandę i sprowadzają wielkie masy ludzi, którym opłacają często podróże i dają ziemię za darmo, poza tym jednak pozostawiają ich własnemu losowi. Jest to okres emigracji osadniczej o charakterze wybitnie pionierskim.

W tym okresie wybija się na czoło interes państw imigracyjnych, bo państwa emigracyjne spoglądają z niepokojem na te masowe ruchy i jeśli im się nie przeciwstawiają, to je zaledwie tolerują.

Z biegiem czasu wszakże sytuacja ulega zmianie. Państwa imigracyjne, choć popierają w dalszym ciągu masową imigrację, zaczynają poddawać ją pewnym przepisom, tworzącym zaczątek selekcji. Przepisy te utrzymane są na ogół

w duchu bardzo liberalnym. Pierwszym państwem, które jeszcze przed wielką wojną hamuje nieco ów liberalizm, są Stany Zjednoczone. Ogólnie biorąc propaganda państw imigracyjnych poczynna w tym okresie słabnąć. Poprzednie, daleko idące ułatwienia, a zwłaszcza udzielanie przejazdów i ziemi za darmo, zostają ograniczone.

Z drugiej strony państwa emigracyjne odnoszą się coraz aktywniej do spraw migracyjnych, zaczynają dopatrywać się w emigracji rozwiązania zarówno problemów ludnościowych, jak też ekonomicznych, a nawet finansowych. W okresie tym interesy państw emigracyjnych oraz imigracyjnych równoważą się w pewnym stopniu,—toteż ruchy migracyjne rozwijają się swobodnie, regulując samorzutnie, w myśl ogólnych haseł i zasad ekonomicznych, panujących wówczas w świecie, istniejące dysproporcje ludnościowe. Taka była sytuacja przed wybuchem wojny.

Po wojnie następuje nowa faza w rozwoju ruchów migracyjnych, której zasadniczym momentem jest polityka daleko idących ograniczeń, wprowadzona przez Stany Zjednoczone. Inne państwa imigracyjne utrzymują wprawdzie przez jakiś czas dotychczasowy liberalizm, z chwilą wszakże wybuchu kryzysu, zaczynają mniej lub więcej iść po linii wytkniętej przez Stany Zjednoczone, przy czym niektóre z nich, jak Brazylia, wprowadzają na wzór Stanów system kontyngentów.

W rezultacie dotychczasowa zgodność ruchów migracyjnych przestaje istnieć, a występują w sposób jaskrawy dysproporcje demograficzne, odbijając

się ujemnie na całym położeniu ekonomicznym świata.

Charakterystyczną cechą tego okresu jest przeniesienie się ciężaru zainteresowania problemem emigracyjnym z państw imigracyjnych do państw emigracyjnych. Jest to sytuacja poniekąd odwrotna niż sytuacja w pierwszym okresie.

Państwa imigracyjne zdają się zapominać, iż rozwój swój i strukturę zawdzięczają przede wszystkim imigracji europejskiej, sprawa emigracji stawiana jest na gruncie koncesji, czynionych przez nie państwu emigracyjnemu, jako bardziej zainteresowanemu.

Stopniowo jednak w państwach imigracyjnych i emigracyjnych dokonywuje się nowy przełom. Dojrzewa nowy sposób ujęcia tych spraw, dążący do zrównoważenia interesów jednych i drugich. Proces ten odbywa się w chwili obecnej.

Jeśli chodzi o państwa emigracyjne, to zaczynają one coraz bardziej przystosowywać się do wytworzonej sytuacji i drogą czy to kolonizacji wewnętrznej, czy uprzemysłowienia kraju, szukają innych niż emigracja sposobów rozwiązania swych problemów ludnościowych, do czego przyczynia się również fakt niepokojącego zmniejszania się przyrostu naturalnego ludności.

Poza tym w państwach tych rośnie coraz bardziej przeświadczenie o konieczności zapewnienia jak najdalej idącej opieki rzeszom emigrantów. Podnosi się wartość siły ludzkiej, oraz wytwarza się przekonanie, że każde państwo powinno zabezpieczyć los swych obywateli na własnym, to jest podlegającym jego suwerenności, terytorium. W charakterze delegata Polski na konferencji ekspertów osadniczych w Genewie, która odbyła się w czasie od 28.II. — 7.III. r. b., oświadczyłem między innymi: „emigrację traktuje się jako zło ko-

nieczne i jeśli państwo decyduje się pozwolić swym obywatelom opuścić kraj rodzinny, to czyni to w przekonaniu, że ich los się polepszy i że stworzą sobie w kraju, dokąd się udają, nowe warsztaty pracy. Moment odciążenia ludnościowego, aczkolwiek ważny, nie jest bynajmniej decydujący i nie może być mowy o wysłaniu ludzi gdziekolwiek, jakkolwiek i na jakichkolwiek warunkach“. Wysuwa się przeto na czoło moment ruchów emigracyjnych, zorganizowanych według pewnego planu.

Z drugiej strony państwa imigracyjne, zwłaszcza państwa o bardzo słabym zaludnieniu, zaczynają zdawać sobie sprawę, iż polityka daleko idących ograniczeń, może odbić się ujemnie na ich rozwoju ekonomicznym. Głęsy takie coraz silniej słychać np. w Argentynie. Wytwarza się przekonanie, że emigracją jest krajowi potrzebna, ale nie może odbywać się w sposób chaotyczny, nie może składać się z byle kogo, ale musi być odpowiednio zorganizowana i uwzględniać elementy gospodarczo krajowi użyteczne. Selekcja, planowość i organizacja, to sprawy wysuwane ostatnio przez państwa imigracyjne, przy czym, o ile chodzi o rodzaj elementów, których gospodarka kraju potrzebuje, to pod tym względem w znacznej części krajów imigracyjnych panuje jednomyślność — są to elementy osadnicze.

Wyżej przytoczone poglądy krajów emigracyjnych doprowadzają również do tego, że zainteresowania ich skupiają się przeważnie dokoła emigracji osadniczej. W samej rzeczy kryzys w rolnictwie uczynił szczególnie ciężkim położenie małych rolnych, elementu, który w pierwszym rzędzie nadaje się do roli osadników. Niemożność masowej emigracji robotniczej do Stanów Zjednoczonych i brak dostatecznego uprzemysłowienia w innych krajach imigracyjnych stwarzają ponadto sytuację, przy której nie ma możno-



Brazylijska karossa

ści zabezpieczenia egzystencji masowej emigracji robotniczej (pomijając już ujemny stosunek do niej większości państw imigracyjnych); jeśli więc mowa o emigracji zorganizowanej, planowej, to może nią być w chwili obecnej jedynie emigracja osadnicza. Tak więc widzimy zbieżność poglądów krajów emigracyjnych i imigracyjnych i podstawę do współpracy, jaka została zapoczątkowana przez konferencję ekspertów — współpracy gospodarczej z uwzględnieniem interesów jednych i drugich — mającej znaczenie dla ogólnego położenia ekonomicznego świata w ogóle. Zostało to wyraźnie stwierdzone w jednogłośnie przyjętym przez konferencję raporcie, który zaznacza, że dla krajów emigracyjnych emigracja osadnicza wpływa na zmniejszenie skutków przeludnienia i podnosi poziom życia ludności. W krajach zaś imigracyjnych wpływa ona w sposób szczególnie silny na wyzyskanie wielkich możliwości ekonomicznych, (przez zwaloryzowanie terenów). Wreszcie, o ile chodzi o położenie ekonomiczne świata w ogóle, emigracja osadnicza przyczynia się wydatnie do zmniejszenia skutków braku równowagi ekonomicznej i do polepszenia dobrobytu we wszystkich krajach.

Niewątpliwie interes ten jest wspólny, ale państwa imigracyjne powinny coraz bardziej zdawać sobie sprawę z tego, że ewolucja problemu migracyjnego w państwach emigracyjnych, (z których niektóre, jak Włochy i Niemcy, doprowadziły do prawie zupełnego powstrzymania emigracji do terytoriów, nie będących pod ich władzą suwerenną) może w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat doprowadzić do całkowitego wchłonięcia nadmiaru swej ludności bez konieczności uciekania się do emigracji. Polska — dzisiaj jeszcze jest państwem zainteresowanym problemem emigracyjnym i pod tym względem zajmuje wśród państw emigracyjnych stanowisko dominujące. Ona tylko rozporządza materiałem przydatnym na emigrację osadniczą na większą skalę, a za jakieś 20 lat przy kontynuowaniu polityki uprzemysławiania kraju i wzmocnieniu swego organizmu gospodarczego może nie mieć potrzeby rozwiązywania swych problemów demograficznych drogą emigracji, w szczególności, o ile chodzi o rdzenną ludność rolniczą.

Należy przypuszczać, że odbyta konferencja otworzyła nieco oczy na te sprawy państwom imigracyjnym, w których interesie jest wyzyskać jak najprędzej nadarżającą się koniunkturę.

W szczególności, jeśli chodzi o Amerykę Łacińską, która była wyłącznie reprezentowana na konferencji, to nie należy zapominać, że obok niej, jak to kilkakrotnie zaznaczyła delegacja polska, są jeszcze inne kraje, jak Bliski Wschód, terytoria afrykańskie, jednym słowem inne kontynenty, które powinny być objęte zasadami wypracowanymi przez konferencję, co zresztą zostało zaznaczone w raporcie, gdzie mowa „o innych krajach“ (prócz reprezentowanych na konferencji).

Problem emigracji żydowskiej do Palestyny z jednej strony, podjęta już przez Włochów kolonizacja Abisynii, studia przeprowadzone ostatnio na Madagaskarze, stwierdzające możliwość osiedlania się tam Europejczyków, oraz inne badania i studia w tym kierunku nad szeregiem terytoriów afrykań-

skich z drugiej strony, mogą w pewnym stopniu przenieść punkt ciężkości problemu osadnictwa z krajów Ameryki do innych kontynentów w szczególności do krajów afrykańskich.

Powinno to być przestrożą dla słabo zaludnionych państw Ameryki Łacińskiej.

Zapoczątkowana na konferencji współpraca państw emigracyjnych oraz imigracyjnych, winna, jak stwierdza przyjęty raport, mieć za podstawę układy dwustronne. Wysuwa się tu ponadto problem zasadniczy, — finansowanie akcji kolonizacyjnej, który zresztą był jednym z głównych celów tej konferencji, a na który specjalny nacisk kładła delegacja polska. Osadnictwo potrzebuje bowiem kapitałów, których w dostatecznej ilości nie może dostarczyć ani kraj emigracyjny, ani imigracyjny. Istnieje przeto konieczność współpracy na szerszym gruncie tj. wciągnięcia czynników trzecich, reprezentujących kapitał międzynarodowy. Temu przekonaniu konferencja dała wyraz zwracając się w zasadniczej rezolucji, będącej „clou“ całej konferencji do Rady Administracyjnej Międzynarodowego Biura Pracy, wzywając ją do stworzenia stałej Międzynarodowej Komisji Kolonizacyjnej, której zadaniem byłoby skoordynowanie akcji państw emigracyjnych i imigracyjnych, w szczególności zaś zajęcie się problemami finansowymi, związanymi z przyciągnięciem tak zw. kapitału międzynarodowego i do której weszliby między innymi eksperci finansowi.

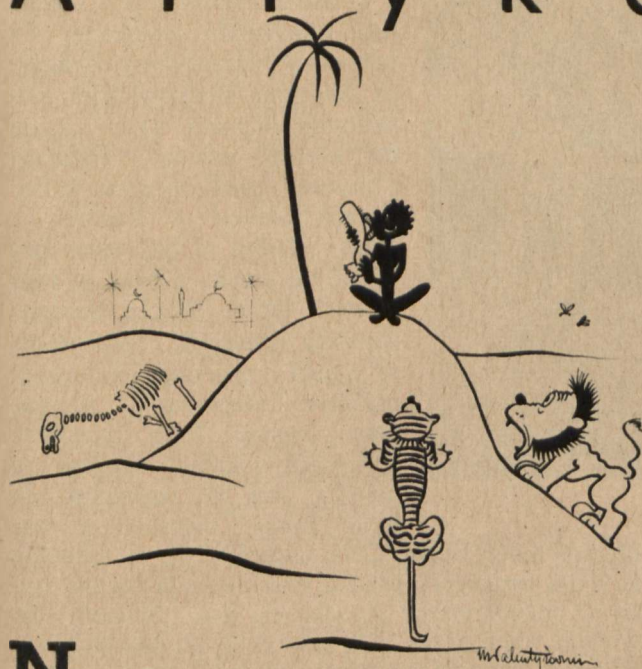
Zapewnienia wicedyrektora Międzynarodowego Biura Pracy w końcowym przemówieniu, przyjęty jednogłośnie raport i panująca na konferencji atmosfera, stanowią pewnego rodzaju gwarancje, że po tym pierwszym etapie, jakim była konferencja ekspertów, nastąpią dalsze kroki pogłębiające współpracę państw emigracyjnych i migracyjnych i stwarzające zręby dla szerszej współpracy międzynarodowej.

WŁADYSŁAW MAZURKIEWICZ



Na rynkach w Brazylii ziemniaki stanowią bardzo poszukiwany produkt

A f r y k a m ó w i



Na piaszczystym pagórku rośnie palma, pod nią siedzi czarny nagus, obgryzający pieczoną łydkę białego człowieka. Czają się na niego lew z tygrysem, a nad nimi lata mucha tse-tse ze śpiączką i komar z malarią. Parę węży złazi do dolinki, gdzie bieleje szkielet wielbłąda, który zdechł z pragnienia, a na horyzoncie sterczy mokry miraż.

Tak w naszej wyobraźni wygląda Afryka.

Lecz rzeczywistość okazuje się wcale niepodobna do tego, pełnego nastroju, obrazka.

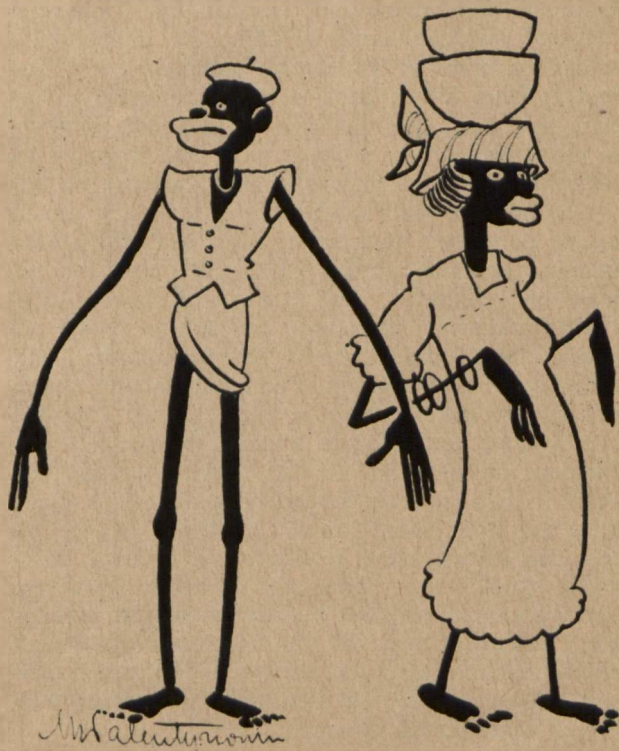
Gdy statek nocą podplywa do Dakaru, stolicy Senegalu, miast ognisk ze skaczącymi z uciechy czarnymi Piętaszkami, z daleka rzuca się w oczy ogromna ilość światel elektrycznych rozsianych na dużej przestrzeni, a całe ich rzędy świadczą dobitnie o oświetlonych ulicach i szosach. I rzeczywiście ten tak rześcicie iluminowany w nocy Dakar, nie różni się zbytnio od przeciętnego południowo-europejskiego miasta. Nie ma absolutnie charakteru miasta tropikalnego, ale za to asfaltowane ulice, duże białe gmachy urzędów, dwupiętrowe bloki mieszkań urzędniczych, dzielnice willowe, tabuny samochodów, a nawet autobusy.

Są tu i restauracje, kawiarnie, kina, a nawet kabarety — jednym słowem, poza Murzynami, którzy też w miarę możliwości chodzą w stroju Europejczyków i różnią się od nich przeważnie tylko kolorem skóry — Afryki nie ma tu wcale. Takim jest to miasto, gdzie „biały” pracuje intensywnie i całą siłą rozpędu. Lecz interior, gdzie odbywa się dopiero penetracja Europejczyka, wygląda trochę inaczej. Tu panują jeszcze silne kontrasty walczących pomiędzy sobą: zawsze zwycięskiej cywilizacji, i, z góry skazanej na zagładę, afrykańskiej egzotyki.

Jest i kolej żelazna: wąskotorówka z rozklekotanymi wagonami 1-ej, 2-ej i 3-ej klasy. Ta ostatnia, przeznaczona wyłącznie dla Murzynów, ma zamiast okien przewiewne siatki druciane,

ławki pod oknami i jedną wzdłuż wagonu. Charakterystyczną cechą wszystkich klas są niezamykające się na pokrzywionych zawiasach drzwi, a w klasach lepszych wentylatory, które po puszczeniu ich w ruch pracują przez pół godziny, rozbryzując na wszystkie strony oliwę, po czym odpoczywają godzinę, by znów rozrzucić porcję czarnego smaru. W kolei Senegal — Niger, długości 1.300 kilometrów, jest i wagon restauracyjny, gdzie można zjeść „duże” lub „małe” śniadanie i taki sam obiad. „Duży” posiłek kosztuje drożej, lecz dostaje się to samo co na mały, gdyż część produktów, jak masło, ryby i jarzyny sprzedaje kierownik restauracji na mijanych stacjach pozbawionym tych specjalów białym. Pejzaż oglądany przez okno wagonu nie jest ani ciekawy, ani urozmaicony: od samego Dakaru, aż do końcowej stacji Bamako okolica jest płaska, porośnięta trawą, w tej chwili suchą i żółtą, rzadkimi krzakami i nędznymi drzewami. Jest to tzw. brussa, która, z małymi zmianami w szczegółach, porasta całą prawie zachodnią, centralną, a częściowo i południową Afrykę. Wymarzone piaszczyste pustynie zajmują niedużą jej część, przeważnie północną.

Przerywam podróż w małym miasteczku Thies, położonym o 100 kilometrów od Dakaru. Zachęca mnie do tego wiadomość, że znajdę tu autentycznego Polaka, no i chcę czym prędzej postawić nogę w tzw. interiorze. Polak okazuje się przemilnym mnichem, Janem Kantym, którego sława sięga aż po granice Konga. Zawdzięcza to hodowli białych myszy, które dostarcza do Instytutu Pasteura w Dakarze i z czego utrzymuje całą Kongregację. W tej małej inieścinnie, o niebrukowanych, piaszczystych ulicach nie ma już autobusów, kin i kabaretów. Je-





Ulica w Konakri

dyny hotel o bezokiennych, mocno podejrzanych co do czystości pokojach, sąsiaduje z gwarnym murzyńskim targiem. Tu po raz pierwszy stykam się z Murzynami nie w europejskich marynarkach, sukniach i hełmach, ale z Murzynami z prowincji, w strojach, co prawda bogatych i nie bez wpływów arabskich, ale za to mocno kolorowych, obszernych i bardzo rozmaitych. Widzę już tu strójnisiów, tj. jegomości, którzy na gołe ciało wkładają wyrudziały surduty, żakiety lub stare mundury dyplomatyczne, innych — noszących kalosze z kokardkami lub parasole, zeszyte z różnokolorowych kawałków. Zachwycają mnie uczesania kobiet, które dla europejskiej elegantki byłyby przedmiotem zazdrości. Moda miejscowa polega na dekorowaniu głów w sposób nadzwyczaj pomysłowy. A więc nie tylko na splataniu warkoczy, warkoczyków, jakichś płaśskich straków, ale na wystrzygiwaniu deseni, ozdabianiu lustrami, monetami, paciorkami, muszlami i innymi świecidełkami, a także na uzupełnianiu uwłosienia przez przyczepianie pomponów z włóczki strzyżonej lub w kłębkach. Na betonowym podium, pod żelaznym dachem, są tu i hale targowe, ale puste prawie, bo Murzyn woli swe skromne towary rozłożyć pod gołym niebem, wprost na ziemi i to tak bez ładu i składu, aby kupujący musiał błądzić pomiędzy kupkami ryżu, prosa, korzeniami manioku, kulkami indyga, garściami cukru lub kolorowych cukierków. Jest to swoisty sposób „podnożnej“ reklamy i naprawdę cudów zręczności dokazują klienci, przeskakując lub przechodząc nad rozłożonymi eksponatami. Pomiędzy ludźmi spacerują smutne oskubane sępy, asenizatorzy i czyszciciele Afryki, korzystające z chwil nieuwagi i wykradające co się tylko da. Od czasu do czasu wybucha z tego powodu zamieszanie, z czego winowajcy nie wiele sobie robią; uciekają jedynie na jakiś czas na ogromne, prostopienne drzewa, zarastające rynek i ulice Thies, aby za chwilę znów rozpocząć swe złodziejskie wędrówki. Wśród ptaków, ludzi i towarów łąją pół, lub całkiem nagie dzieci, dumnie demonstrując swe głowy ozdobione grzywkami, warkoczykami lub wymyślnymi kępkami włosów na wygolonych głowach.

Chaos w rozkładaniu towarów na rynku powtarza się i w zabudowaniu wsi. Trzeba mieć murzyńską orientację, aby pomiędzy jednakowymi okrągłymi, krytymi stożkowatymi, słomianymi dachami tzw. „kazami“ znaleźć szukaną. Plecione i mazane czerwoną gliną w Senegalu, bielone w Sudanie — ściany chałup są bliźniaczo podobne do siebie, a brak w nich okien i drzwi jeszcze bardziej utrudnia orientację. Takie same są i pola uprawne: w przemyślnym nieporządku rozrzucone kopce. Przy pieszych spacerach wołałem okrążyć te polećka, niż iść naprzecią, co było mniej męczące i za-

bierało mniej czasu. Całe szczęście, że te uprawne kawałki brussy są bardzo rzadkie i ulokowane tylko w bezpośrednim sąsiedztwie wsi. Murzyn nie wkłada wiele pracy, aby przygotować kawałek ziemi pod uprawę: wprost podpala suchą, spaloną słońcem brusse, a ogień spełnia pracę za niego. Jedyne większe drzewa, które mogłyby się ostać płomieniom, obkłada suchymi gałęziami. Dymy na horyzoncie w dzień, a łuny pożarów w nocy stanowią zasadniczy element pejzażu Afryki. Brussa pali się i sama, tylko wtedy płomień, który wybuch w jednym miejscu, wypala jedynie większe lub mniejsze łysiny, nie czyniąc takich szkód jak pożar wzniecony „strategicznie“ przez człowieka. W Tombakunda, następnym moim etapie, dymy zakryły na dwa dni słońce, i to małe miasteczko, które linia kolejowa dzieli na wieś murzyńską i dzielnicę handlową było dziwnie smutne i sennie. Dzielnicę handlową, jednocześnie część europejska miasta, nie jest wspaniała, daleko jej do Dakaru lub nawet Thies: jedyna ulica, tuzin uniwersalnych sklepów syryjskich, dom administratora i... hotel. Ten ostatni, położony przy samym dworcu kolejowym, egzystuje od czasu, gdy tu kończono budowę kolei i gdy reszta podróży do Senegalu odbywało się wpraw w hamaku, później samochodem. W tej chwili jest on właściwie nieczynny; można jedynie za zezwoleniem miejscowego administratora dostać w nim pokój z łóżkiem i... łazienką. O usługę i jedzenie trzeba się starać samemu.

Dziwne wrażenie robi ten porządny, piętrowy budynek, mrugające światło elektryczne i bulgocąca w rurach wodociągowa woda, gdy się siedzi na tarasie w noc księżycową, oglądając nagle i chybotałki światelka „dzielnicę“ handlowej, ogniska murzyńskiej wsi i słucha się wycia hien i szakali. Brussa zaczyna się zaraz za parkiem przy domku administratora i sprawa zdobycia świeżego mięsa do jedzenia, tj. ustrzelenie paru kuropatw, penterek, dużych zielonych gołębi lub kusego królika nie jest ani męcząca, ani trudna.

Jeszcze kilkaset kilometrów koleją i jestem w Bamako, już w Senegalu, nad wolno płynącym

Nigrem. To miasto robi rze-
 telną niespodziankę: 1.300 ki-
 lometrów w głąb Czarnego Ła-
 du i — asfaltowane ulice, elek-
 tryczne światło, porządne ho-
 tele, konne i piesze pomniki ja-
 kichś bohaterów, nawet część
 sklepów jest nie uniwersalna a
 branżowa. Nawet kino bywa
 tu dwa razy w tygodniu dla
 białych, a raz dla Syryjczy-
 ków, których się traktuje jak
 coś pośredniego pomiędzy bia-
 łymi a czarnymi. Murzyni są
 tacy sami, może więcej wi-
 duje się nagich dzieci i półna-
 gich kobiet.

Lecz ta „perła Senegalu“ wy-
 różnia się i odskakuje niepomier-
 nie od innych miast w interiorze,
 jak Siguiiri, centrum złotodajnych terenów, lub Kan-
 kan czy Kurusa w Gwinei. Nie ma już tu światła
 elektrycznego, asfaltów itp. Miasto, czyli uniwersal-
 ne sklepy, sąsiadują z chałupami i bezpośrednio prze-
 chodzą w brusę, która w Gwinei pokryta jest z rzad-
 ka co prawda, ale gęstymi gajami i zaroślami spleta-
 nych drzew, krzaków, palm i lian. Górzysta miejsco-
 wość sprzyja powstawaniu nędznych strumyków,
 a ca za tym idzie bujnej roślinności przy ich brze-
 gach. Zjawiają się już i plantacje: w regularnych
 szeregach stojące drzewa kapokowe, agawy sisalo-
 we lub duże przestrzenie porośnięte skudłaczonymi
 bananami.

Zaczynam odwrót do morza. Im bliżej morza,
 bliżej stolicy Gwinei Konakri, tym więcej palm,
 plantacji, tym większy jest kurz i robi się coraz to
 cieplej. Taka sama brzęcząca kolejka, jak w Sene-
 galu, wiezie mnie wśród górki i pagórków. Stada
 małp - pawianów, lub pojedyncze małpy koczodani
 ciekawie przyglądają się żelaznemu potworowi
 ziejącemu dymem, co czynią z równym zaintereso-
 waniem szeregi Murzynów przy torze. Zamiast wsi
 widuje się tu rzadko rozrzucone pojedyncze chału-
 py z obowiązkowymi krzewami bananów i drze-
 wami pomarańczowymi.

Samo Konakri jest przemiłym miasteczkiem
 o ulicach ocienionych drzewami mangowymi co
 w okresie dojrzewania owoców może wywołać nie-
 miłe niespodzianki w postaci mokrej, żółtej a słodkiej
 plamy na białym hełmie lub ubraniu. Znów, jak w Da-
 karze, białe budynki ratusza i innych urzędów. Lecz
 miasto jest mniejsze, budynków tych jest mniej, nie
 ma autobusów i kawiarni, a poza tym Konakri ma
 charakter wybitnie tropikalny, podkreślony cieni-
 stymi werandami i chybotliwymi palmami. Sprawia
 to, że nareszcie znajduję afrykańskie miasto. Spe-
 cyficznego uroku dodają mu miejscowi arystokraci-
 plantatorzy, których się tu często widuje na ulicy.
 W odróżnieniu od białych, po europejsku ubranych
 mieszczuchów, przelatują w ciężarowych samocho-
 dach przez asfaltowane ulice w krótkich spodeń-
 kach, często z gołymi podrapanymi przez krzaki
 i trawy nogami i rękami. Zakurzeni odbytą drogą
 zdają się pachnieć słońcem i brusą.



Sklepy uliczne w Bamako

O parę kilometrów od Konakri, w bok od czer-
 wonej szosy, nad samym morzem, pomiędzy pal-
 mami i olbrzymimi drzewami — 'fromagierami' tuli
 się malutki biały domek. Mieszka tu Polak, plan-
 tator pan Sz. z żoną. Na dźwięk jego nazwiska
 Francuzi podnoszą palec do góry i mówią z zachwy-
 tem: c'est un type, c'est un vrai homme! Bo pan
 Sz. własną pracą, bez grosza (dosłownie!) na po-
 czątek, dorobił się trzech plantacji. Nie byłby Po-
 lakiem, gdyby nie narzekał, ale te plantacje bądź co
 bądź ma! W czerwonym głębokim rowie, wykopa-
 nym wśród zwartych szeregów krzewów banano-
 wych, stoi nowa pompa, a kapryśny motor stara się
 uruchomić aż trzech Polaków: plantator Sz.,
 nasz konsul w Konakri, a sławny na tym gruncie
 znawca motorów, przedstawiciel firm samochodow-
 ych, właściciel garażu, a także plantator pan S.
 i niżej podpisany. Lecz trzech Polaków na Czar-
 nym Łądzie zebranych razem, nie było w mojej pod-
 róży rekordem: Sylwestra spędzałem na jednej
 z plantacji w głębi kraju i Polacy na 30 zebranych
 osób stanowili całe 20 proc. A więc p. Sz. z żoną
 i bratem, który objął jedną z plantacji, p. S. z żo-
 na, no i ja. Chodziłem dumny, jak paw, bo ka-
 dzili mi Francuzi o moich współrodakach, jak mog-
 gli, a obie panie w sposób doskonały urabiały opi-
 nię o urodzie Polek.

Krótkie dni spędziłem w Konakri wśród przy-
 jaciół. Zamiłowanie do samotnych podróży pociąg-
 nęło mnie z powrotem w głąb Gwinei, a i brussa ra-
 zem z kolcami swych kłujących krzaków wszczę-
 piła widocznie lubczyka. Zateśkniłem za nią i ra-
 zem z mym boyem, bez którego niesposób tu pod-
 różować, uciekliśmy od cywilizacji. Zaczęły się
 noclegi w okrągłych kłazach murzyńskich, pocenie
 się w dzień, a marznięcie przy 10 — 12 stopniach
 ciepła w nocy, łowy dla mięsa, polowania na dra-
 pieźniki dla skór i cudowne dni próżniactwa.

Afryka jest dla turystów, lecz dla pracy.
 Przyjeżdżać tu, aby coś „ogładać“ — nie warto, ale
 jeśli ktoś tu raz trafił, zdaje mi się, że będzie mu-
 siał wrócić, pomimo braku romantycznego obrazka
 z Murzynem, szkieletem i tygrysem.

M. WALENTYNOWICZ

PRODUKCJA AFRYKI MURZYŃSKIEJ



Na czoło możliwości produkcyjnych krajów Afryki Murzyńskiej, tj. większej części Czarnego Łądu, tej która jest zamieszkała przez czarnych — bezspornie wysuwają się rudy metali i minerałów oraz produkcja roślinna, w pierwszym rzędzie surowców włóknistych i oleistych. Inne działy gospodarcze, a więc hodowla, rybołówstwo, gospodarka leśna itd. nie rokuja — przynajmniej przy obecnym stanie rzeczy — poważniejszych perspektyw.

Mały stopień zbadania geologicznego ziem afrykańskich nie pozwala na dokładne oszacowanie bogactw mineralnych Afryki. Nie ulega wszakże wątpliwości, że w głębi Czarnego Łądu kryją się znaczne bogactwa kopalne.

Na szerszą skalę wykorzystywane są w dobie obecnej bogate złoża rud miedzianych w centralnych regionach łądu, przy czym Afryka Murzyńska już dziś dostarcza na rynki światowe ok. 20% ogólnej produkcji czerwonego kruszcu. Większość kopalń rudy miedzianej koncentruje się na pograniczu brytyjskiej Rodezji Północnej oraz Konga Belgijskiego, a mianowicie w okęgach Katanga i Kosembe. Okręgi te dostarczają rocznie przeszło ćwierć miliona ton miedzi. Poza tym nieznaczne ilości rud miedzianych wydobywają Portugalczycy w swej części Afryki Wschodniej oraz Anglicy w Afryce Południowo-Zachodniej i w Transvaalu.

W górnym biegu rzeki Limpopo na tzw. Witwaterstrandzie skupia się z górą jedna trzecia świato-

wego wydobycia złota (około 350 tys. kg rocznie). Poza tym Rodezja dostarcza około 25 tys. kg, Kongo Belgijskie i Złote Wybrzeże po blisko 15 tys. kg, a Francuska Afryka Zachodnia około jednej trzeciej tej ilości. W południowych połaciach Łądu występuje także drugi cenny kruszec — srebro. Wprawdzie obecnie Afryka dostarcza niespełna dwa procent światowego wydobycia białego kruszcu, ale możliwości eksploatacyjne w tej dziedzinie są dość znaczne, choć nie tak obiecujące jak co do złota i miedzi. Czarny Łąd przynosi nie tylko złoto i miedź, ale i diamenty. Drogocenne te kamienie wydobywa się głównie w Angoli oraz na przyległych obszarach dawnej niemieckiej kolonii południowo-zachodniej. Nie brak też pól diamentowych w dorzeczu Limpopo i Zambezi, a nawet w Kongo Belgijskim. Afryka jest obok Brazylii najpoważniejszym producentem diamentów na kuli ziemskiej.

We Francuskiej Afryce Zachodniej wydobywa się obecnie rudy żelaza i cyny a także uruchomiono kopalnię kaolinu, czarnego marmuru i soli kamiennej. Na Złotym Wybrzeżu i w ościennych okęgach Togo odkryto niedawno pierwsze na łądzie afrykańskim kopalnie rud manganowych. Odkrycie to posiada wielką doniosłość, gdyż jak wiadomo, 95% produkcji manganu, tego ważnego surowca dla wyrobu wysokogatunkowych stali specjalnych, skupia Gruzja. Poza tym eksploatowane są w nieznacznej ilości rudy chromowe oraz złoża azbestu w brytyjskiej Rodezji, rudy cyny, ołowiu i cynku w szeregu punktów po obu stronach równika; sól, potaż i soda na wybrzeżu somalijskim, mika na Madagaskarze i w skalistych miejscowościach Afryki równikowej i podzwrotnikowej; wreszcie w Nigerii kopie się w coraz większych ilościach bardzo ważny minerał menezyt, z którego wydobywa się metaliczny pierwiastek tor, wysoko ceniony w przemyśle. Niedawno odkryto także i w Kamerunie poważne pokłady menezytów. Do najbogatszych obszarów górniczych w Afryce Murzyńskiej zaliczyć należy belgijskie kolonie Kongo i Ruanda-Urundi, gdzie wydobywa się prócz złota i miedzi także diamenty i cynę.

Żelaza i węgla Afryka Murzyńska prawie nie posiada. Pierwsze zbadane i eksploatowane kopalnie żelaza zaczynają się właściwie dopiero na północ od Sahary w Algierii (2 miliony ton produkcji rocznej), węgla zaś za pustynią Kalahari na dalekim południu (wydobycie roczne około 15 milionów ton). Także bogate złoża fosforytów leżą już na obszarze północno-afrykańskim. Natomiast na pierwsze ślady ropy naftowej i bitumów natrafiono w Portugalskiej Angoli.

Jeżeli dalsze badania geologiczne nie doprowadzą do wykrycia większych pokładów rud żelaza i paliw to — rzecz jasna — Afryka Murzyńska nigdy nie zdoła rozbudować na swych obszarach ośrodków przemysłu i już niejako przez samą naturę zostanie skazana na spełnianie roli kolonii wobec krajów europejskich.

Drugą zasadniczą tendencją rozwojową produkcji na terenach Afryki Murzyńskiej jest wytwór-

czość roślinna. Rzecz uderzająca — większość najważniejszych roślin uprawnych dostało się względnie niedawno do Afryki z innych części świata. I tak z Ameryki przywędrował orzech ziemny, kakao, maniok, tytoń, sisal, drzewo chinowe, wanilia, kolokoka, fasola i kukurydza. Z Indii i archipelagów molucko-malajskich bawełna, sezam, herbata, goździki, imbir, trzcina cukrowa, ryż. Z wysp Pacyfiku palma kokosowa, z Europy szereg zbóż i warzyw, z Australii akacja garbnicza i eukaliptus. Świadczy to o tym, że na lądzie afrykańskim da się z czasem rozwinąć uprawę szeregu innych użytecznych roślin np. juty, korzeni indyjskich, roślin farmaceutyczno-perfumeryjnych itp.

Z roślin krajowych większego znaczenia nabrały jedynie kawa, palma oleista, rafia, palma karłatka, drzewo hebanowe, drzewo mahoniowe, kapok, afzelia i arobe, a w strefach sawanowych akacja arabska, dostarczająca gumy arabskiej i akacja australijska dostarczająca na równi z pewnymi gatunkami mangrowów wysoko wartościowego garbnika.

Bogactwa leśne Afryki Murzyńskiej są znaczne, jednakże dobrego drzewa budulcowego jest nie wiele, tak że np. do Zanzibaru sprowadza się deski aż z Finlandii. Natomiast lasy afrykańskie posiadają wysokie gatunki drzew meblowych i specjalnych (heban, mahoń, china). Na obszarze francuskich kolonij w Afryce jest ogółem 50 milionów ha obszarów zalesionych. Francuzi najdawniej rozpoczęli w Afryce racjonalną gospodarkę drzewną i już w ostatnich latach ubiegłego stulecia importowali do metropolii z jednego tylko Wybrzeża Kości Słoniowej po 15 — 20 tys. ton drewna mahoniowego rocznie.

Jednakże główne bogactwa roślinne Afryki Murzyńskiej, to nie drzewa lecz rośliny uprawne. Jednym z artykułów eksportowych, o dużych perspektywach na przyszłość jest tapioka. Jest to łatwo-

strawny pokarm dla dzieci i chorych wyrabiany z korzeni manioku. Produkuje się tapiokę w Afryce Tropikalnej. Senegal, Gambia, wybrzeża Zatoki Gwinejskiej i Nigeria plantują w dużych ilościach orzech ziemny, znany u nas zarówno jako bakalia jak i jako ważny surowiec oleisty. Podobnie jak dwie wyżej omówione rośliny dostał się z Ameryki na zachodnie wybrzeża afrykańskie krzew kakaowy. Dziś pierwsze miejsce w światowej produkcji ziarna kakaowego ma Złote Wybrzeże (ćwierć miliona ton rocznie), trzecie zaś (po Brazylii) Nigeria (50 tys. ton rocznie). Poza tym były niemieckie posiadłości Togo i Kamerun dają rocznie około 10 tys. ton. Dobre warunki dla uprawy krzewu kakaowego są niemal w całej Afryce Murzyńskiej za wyjątkiem obszarów sawanowych.

Czołową rolę w produkcji roślin technicznych na Czarnym Lądzie gra palma oleista, z której owoców i ziarn tłoczy się olej, mający szerokie zastosowanie w przemyśle mydlarsko-tłuszczowym całego świata. Palma ta lubi klimat wilgotny i gorący i udaje się od Sierra Leone na północy aż po Angolę. Sprowadzony z Indii sezam — w przeciwieństwie do olejowca — lubi klimat suchy i gorący i uprawiany jest od Senegalu aż po Mozambik i Sudan. Z innych surowców oleistych wymienić jeszcze należy palmę kokosową oraz siemię bawełniane (Sudan, Uganda). Obok surowców oleistych Afryka posiada także surowce włókiennicze. Sprowadzona z Indii bawełna plantowana jest nie tylko w Egipcie (4 miejsce w produkcji światowej), ale i w brytyjskiej Ugandzie (60 tys. ton produkcji rocznej), Sudanie (50 tys. ton) i w Kongo Belgijskim (30 tys. ton). Poza tym mniejsze ilości bawełny plantują w swych koloniach także Francuzi i Portugalczycy. Kapok i juta, a nawet len i konopie mają w wielu okęgach dobre warunki uprawy, co przyczynia się do wysunięcia Afryki na czoło producentów surowców oleisto-włóknistych.



Afryka zachodnia — transport kakao

Z innych kultur należy słów parę poświęcić użytkom, korzeniom, plecionkom i zbożom. W Natalu Anglicy z powodzeniem zaaklimatyzowali krzew herbaciany oraz trzcinę cukrową. Natal produkuje już obecnie ponad półtora miliona kwintali cukru trzcinowego rocznie, tj. więcej niż Egipt, a pół tego co cała Unia Południowo-Afrykańska. Warunki korzystne dla plantacji herbacianych i trzcinowych istnieją poza tym niemal na całym lądzie.

Na pochodzącym z Czarnego Łądu krzewie kawowym karierę zrobiły kraje Ameryki Łacińskiej, głównie zaś Brazylia, która skupia w swym ręku z górą dwie trzecie produkcji kawowej świata. Jednakże znaczenie Afryki w tej produkcji stale wzrasta. Najwięcej do niedawna kawy (odmiana etiopska) produkowała Abisynia południowa (około 10 tys. ton rocznie). Doskonale warunki dla plantowania innej odmiany krzewu tzw. kawy liberyjskiej panują na całym wybrzeżu atlantyckim. Wreszcie w sercu ładu świetnie się udaje bardzo korzystna odmiana kawowca tzw. gatunek robusta. Tą odmianą zainteresowali się ostatnio Holendrzy i przynieśli ją na archipelag malajski, uzyskując bardzo dobre wyniki. Krótco mówiąc, w niedalekiej przyszłości Afryka Murzyńska może zabrać Brazylii palmę pierwszeństwa w zakresie plantowania kawy, co — rzecz jasna — musi jednakże być spowodowane przez kapitał europejski. Obok kawy należy już w niedalekiej przyszłości wróżyć przyszłość takim uprawom jak tytoń, drzewo chinowe, koka, kauczuk, a sizał zawleczony z Meksyku już dziś odgrywa coraz większą rolę nie tylko na Madagaskarze, ale i w całej Afryce Wschodniej.

W zakresie zbóż w Afryce Murzyńskiej możemy mówić o poważniejszej uprawie jedynie sorga, ryżu i kukurydzy. Na czoło krajów uprawiających ryż wysuwają się Madagaskar (7 mil. q rocznie) i Gwinea Francuska (6 mil. q).

Jeśli chodzi o korzenie, uprawa których zawędro-

wała na Czarny Łąd z Indii (goździki i imbir) bądź z Ameryki (wanilia), to Afryka posiada doskonałe warunki plantacyjne. Już dziś wyspy Pemba i Zanzibar ogniskują niemal 100% światowej produkcji goździków korzennych, a plantacje imbiru coraz bardziej rozpowszechniają się w Sierra Leone. Wreszcie na Madagaskarze i przyległych wyspach kwitnie uprawa wanilii. Jak dotychczas nie przyjął się na Czarnym Łądzie jedynie cynamon i muszkat.

Osobną grupę produkcji roślinnej, grupę czysto afrykańską stanowią plecionki, łyka itp. Wystarczy wymienić rolę, jaką spełnia trawa alfa i liście palmy karłatki (roślinny koński włos) na obszarach północnych, a rafia (łyko palmowe) i piasawa dla obszarów Afryki wschodniej.

Na zakończenie wspomnę o produkcji zwierzęcej, która większej roli ekonomicznej na ogół w Afryce nie odgrywa. Składa się na to szereg przyczyn, głównie klimat i mucha tse-tse. Z tych powodów hodowla koni, bydła rogatego i nierogacizny nie ma w Afryce Murzyńskiej możliwości większego rozwoju. Poważniejsze szanse rozwoju mają gatunki afrykańskie, wywodzące się z Nubii osioł, dromader oraz słoń. Słonie do niedawna panowały na całym kontynencie od górnego Nilu aż po Kapsztad. Dziś słoń wycofał się w głąb niedostępnych puszczy, opuszczając miejsca skolonizowane. Słoń oswojony nie jest w Afryce znany. Natomiast powszechnie uprawiano, zwłaszcza w dawnych czasach, polowania na słonie w pogoni za kłami. Najwięcej kości słoniowej produkuje Kongo Belgijskie, Francuska Afryka Równikowa i Mozambik.

Hodowla owiec, merynosów, kóz i kóz angorskich rozwinęła się poważnie już za granicami Afryki Murzyńskiej w Kaplandzie, Etiopii i Tunezji. Dość poważna produkcja masła topionego, bydła i zwłaszcza skór bydłych niewyprawionych rozwinęła się w Somalilandzie i Erytrei.

ZBIGNIEW KOZŁOWSKI



Nad Nigrem



W drodze do faktorii

Dzień posiadacza faktorii w „centre commercial” w Kamerunie — dzień ciężkiej i znoej pracy — rozpoczyna się wczesnym rankiem. Już o godzinie szóstej wzywają do pracy charakterystyczne dźwięki murzyńskich „tam-tamów”. Jest to zarazem sygnał, że rozpoczynają się godziny handlu. Dopiero bowiem o 6-ej rano do osady, czy miasta, gdzie znajduje się „centre commercial”, — znajduje się ono wszędzie tam, gdzie istnieją jednostki władzy administracyjnej — wpuszczani są przez roгатki Murzyni, niosący w koszach plony kameruńskiej ziemi.

Murzyni przybywają wcześniej. Muszą jednak czekać do godziny 6-ej rano, dopóki nie rozlegną się dźwięki „tam-tamu”, czekają też cierpliwie z naiwnym poddawaniem się wyrokowi losu, jaki cechuje tych pierwotnych ludzi.

Skoro jednak godzina rozpoczęcia handlu już nadeszła, całe „centre commercial” napełnia się wrzaskiem, krzykiem i hałasem, od którego uszy puchną. Rozpoczyna się handel — prawdziwe widowisko pełne namiętnych dzikich akcentów. Handel jest w każdej części świata pod każdą szerokością i długością geograficzną jednakowy. Sprzedawca zawsze i wszędzie chce uzyskać za swój towar jak najwyższą sumę, nabywca zaś chce kupić towar po cenie dla siebie jak najbardziej dogodnej.

Tak samo jest i tu — w każdym „centre commercial” w Kamerunie. Biali stoją przed swymi faktoriąmi, oczekując na sprzedawców, lecz nie nawołują, nie zachęcają, nie przywabiają do siebie.

Czy słyszeliście kiedy o tym, że w Afryce istnieje instytucja naganiaczy? Instytucja nieco różna od

tej, jaką oglądamy w niektórych miastach Europy w rozmaitych dziedzinach handlu, jaka istnieje i u nas w Polsce, że sięgniemy tylko po przykład do warszawskich Nalewek.

Naganiacze w Kamerunie — to czterech lub sześciu Murzynów, wynajętych przez właściciela faktorii. Stoją oni przed faktorią i starają się jak najbardziej zwrócić na siebie uwagę, zachęcając swych współplemieńców, by jako żywo, nie odważyli się sprzedać towaru gdzieindziej, tylko w faktorii tego właśnie białego zacnego i dobrego człowieka, którego polecają, jako znakomitego i nieporównanego kupca.

Im gorliwszy naganiacz, tym bardziej krzyczy, zachęca, opowiada co mu ślina na język przyniesie i co zrodzi się w jego ciemnej, kędzierzawej głowie. Tłumaczy, że w tej właśnie faktorii najlepsze dają ceny, że tu można sprzedać towar najkorzystniej, a wszystkich innych białych należy jak najbardziej unikać.

Zachęceni okrzykami i nawoływaniem naganiaczy — Murzyni kierują się do faktorii z koszami surowców kolonialnych.

Przed sklepem stoi coś w rodzaju szubienicy. Jest to waga zakończona hakiem. Na haku tym wieszka się kosz murzyński, by zważyć towar, po czym od ręki załatwia się transakcję.

Dawniej faktorie porzucane były w dżungli, obecnie jednak administracja francuska, chcąc zapewnić miastom i osadom szybszy rozwój utworzyła właśnie owe centra handlowe, gdzie skupiają się faktorie i gdzie dokonywany jest cały handel.

Handel ten znajduje się właściwie w ręku wielkich kapitalistów, a posiadacze drobnych faktoryj są jedynie pośrednikami. Nie rozporządzając dużymi kapitałami, nie mogą oni zdobyć się na przetrzymanie, nie mogą wyczekiwać lepszej koniunktury — nabywają towar po to, by jak najprędzej odprzedać go wielkim firmom, dyktującym i wyznaczającym cenę. Ta przewaga wielkich firm sprawia, że zbyte wszelkich towarów poza kawą, której eksport jest uprzywilejowany i premiovany przez francuską administrację Kamerunu, jest bardzo trudny dla drobnego kupca.

Dla polskiego plantatora i drobnego kupca zrealizowanie marzenia o tym, by wejść w bezpośredni kontakt z polskimi firmami i z Gdynią, by sprzedawać towar bezpośrednio na polski rynek — jest w tej chwili istotnie bardzo trudne.

Kamerun posiada ogromne znaczenie kolonizacyjne i handlowe, by jednak polski plantator lub polski kupiec mógł nawiązać bezpośredni kontakt z polskim portem, na to potrzebny byłby w porcie Duala skład konsygnacyjny oraz sieć faktoryj w głębi Kamerunu. Wówczas po cenach niezmiernie niskich i przystępnych, omijając wiele ognisk w długim łańcuchu pośrednictwa można by importować do Polski mahoń, heban, kakao, orzeszki ziemne, orzeszki palmowe, sizal, surowiec bawełniany i nawet kauczuk. Taki sam skład konsygnacyjny oraz sieć faktoryj mogłyby rozprowadzać po Kamerunie polską sól, polski cukier, cement, towary włókiennicze, naftę, benzynę, mydło, narzędzia i wiele innych towarów. Możliwości byłyby wówczas olbrzymie.

Cóż z tego, kiedy przy całej świadomości owych możliwości, przy najlepszych chęciach plantatora, czy emigranta polskiego, rzuconego do dalekiego Kamerunu — istnieje zarazem świadomość, że w tej

chwili warunki nie pozwalają na snucie wielkich i poważnych projektów.

Wykrzykują naganiacze swe pochwały, zachęcają do sprzedawania faktorii towarów, a choć obroty są duże, zysk małego kupca pośrednika jest szczupły.

Mija godzina za godziną, pałace afrykańskie słońce coraz wyżej podnosi się na horyzoncie — a handel trwa. Ciągnie się on do godziny jedenastej lub dwunastej w południe, po czym gwar przycicha, „centre commercial“ zalega spokój — czarni wracają do swych wiosek w głębi puszczy.

Nie kończy się jednak dzień pracy kupca. Po krótkim odpoczynku, musi on posortować nabyty towar i dostarczyć go agencji, dla której pracuje.

Towar nabyty w ciągu dnia ładuje właściciel faktorii na ciężarowe samochody, stanowiące — po za jedną linią kolejową — wyłączny środek komunikacyjny w Kamerunie i odwozi do Duala, skąd surowce załadowane na statki popłyną do dalekiej Marsylii i Bordeaux. Do ceny sprzedażnej towarów dostarczonych do składów konsygnacyjnych, dolicza właściciel faktorii koszty transportu do portu. Zyskiem jego jest zagwarantowanie mu, że użyte przez niego środki transportowe przewiozą w drodze powrotnej potrzebne towary do „centre commercial“, do osad i faktorii.

Nazajutrz o godzinie szóstej rano znowu rozbrzmiewa budzący kupca dźwięk murzyńskich „tam-tamów“, znowu rozpoczyna się wrzaskliwy handel.

I tak dzień po dniu mijają tygodnie i miesiące ciężkiej, pełnej wysiłku pracy właściciela faktorii, pracy, z której zyski zdobywa się istotnie w pocie i trudzie.

WŁ. SZAWERNOWSKI



Duala — ziarna palmowe przygotowane do ładowania na statki

W WOLNEJ REPUBLICIE CZARNYCH

Fragment plantacji p. K. Armina



Kiedy po trzy i pół rocznym pobycie w Liberii wróciłem do kraju na 6-miesięczny wypoczynek, zwróciła się do mnie redakcja „Morza”, prosząc o artykuł na temat mego pobytu w Liberii.

Czytelnicy „Morza” niejednokrotnie już słyszeli o życiu i pracy plantatorów polskich w Liberii, toteż nie będę tu omawiał tematu wyczerpująco, ale podam kilka obrazków i fragmentów z mego pobytu.

Plantacje polskie w Liberii zostały zorganizowane przez Ligę Morską i Kolonialną i są przez nią traktowane, jako pewnego rodzaju szkoła dla przyszłych pionierów kolonialnych. Przybywający tu bowiem kolonista musi sobie samodzielnie dawać radę z wielu zagadnieniami, których dobrze nie zna, a których rozwiązanie stanowi nieraz dość duże trudności.

We wszystkich koloniach afrykańskich są instytucje rolnicze, znajdujące się pod kierownictwem doskonałych fachowców. Instytucje te prowadzą stale badania i doświadczenia, mogą więc udzielić zakładającemu plantację nowicjuszowi dokładnych wiadomości, rad i wskazówek oraz ułatwić zakup lub nawet dać odpowiednie nasiona. Jest to pomoc tak wielka, że chyba ten tylko może ją ocenić, kto sam zakładał plantacje w Afryce, a nie miał możliwości korzystania z dobrodziejstw pomocy fachowej. W Liberii nie było niestety ani instytucji tropikalnych ani fachowców, toteż doświadczenia nabyte przez polskich plantatorów kosztowało wiele trudu.

Plantator musi znać się na wszystkim: powinien umieć zbudować dom czy magazyn, przeprowadzić pomiary miernicze, zbudować most, wytyczyć drogę — słowem wiedzieć cały szereg rzeczy, które są związane z gospodarką plantacyjną. Podstawowe wiadomości z medycyny są również bardzo potrzebne.

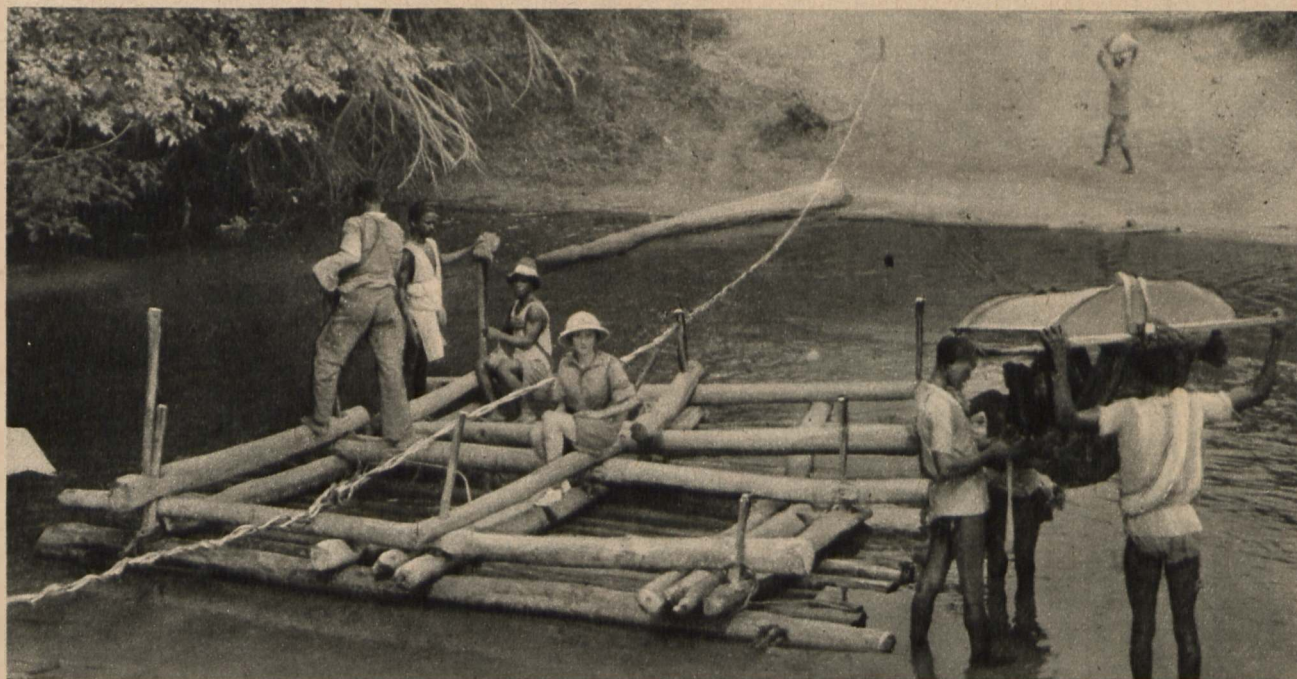
Od razu na wstępie, przy organizowaniu codziennego życia napotyka się na trudności. Już sa-

ma gospodarka domowa sprawia pewien kłopot, większość bowiem produktów trzeba sprowadzać z Monrowii; resztę uzupełnia się z własnego gospodarstwa lub z polowań, które nie tylko stanowią rozrywkę, ale są wprost koniecznością ze względu na niemożność zakupienia świeżego mięsa. Ponieważ Liberia jest pokryta gęstą puszcza, poluje się w nocy przy lampach elektrycznych, umieszczonych na głowie. Emocją takiego polowania jest to, że strzelając do zwierzyny, widzi się właściwie tylko oczy i zazwyczaj nie wiadomo, czy to, co się bierze za małą antylopę nie jest bawołem. Omyłka mogłaby być nieco ryzykowna. Naturalnie w miarę zdobywania doświadczeń, można czasami z koloru świecących oczu czy ich ruchów rozpoznać zwierzynę, ale to nigdy nie jest pewne.

Kiedy już zorganizuje się gospodarke domową, zaczyna się nabierać doświadczenia w pracy na plantacjach, a w pierwszym rzędzie w odpowiednim dobieraniu materiału ludzkiego i postępowaniu z nim.

Murzyni w Liberii przedstawiają dobry materiał roboczy, jedynie ci, którzy uczęszczali do szkół są nieco zdemoralizowani. Murzyn nauczywszy się zaledwie sylabizować i nieco pisać, uważa się za istotę wyższą od swych współpracowników i wzięty do pracy na plantacji zwykle po trzech czy czterech dniach prosi o lepszą pracę, prośbę swoją motywując tym, że jest „cywilny”, ponieważ umie czytać i pisać. Naturalnie za lepszą pracę uważa taką, gdzie można jak najmniej pracować, a otrzymuje się lepsze wynagrodzenie.

Załatwienie sprawy z Murzynem nie należy do rzeczy łatwych. Murzyn, mając interes do białego przychodzi zwykle w otoczeniu swych żon i przyjaciół z tradycyjną białą kurą w ręku i zaczyna półgodzinne przemówienie, zaczynające się zwykle od słów: „panie, ja pragnę cię zobaczyć.” Dopiero po



Liberia — przeprawa przez rzekę

tej przemowie można dowiedzieć się, o co mu chodzi. Inaczej nieco załatwiają sprawę robotnicy plantacyjni, przemowę swoją zaczynając od słów „panie, ty jesteś moim ojcem i matką”.

Jak przekonaliśmy się, klimat liberyjski nadaje się doskonale do plantowania prawie wszystkich kultur tropikalnych, a przede wszystkim kauczuku, kakao i kawy.

Na polskich plantacjach plantuje się kakao i kawę, robiono także próby z rycynusem i orzechem ziemnym, ze względu jednak na trudności — trzeba było je przerwać.

Jest bowiem czynnik, który utrudnia w dużym stopniu eksploatację, a mianowicie transport. Ale i ta kwestia będzie w najbliższej przyszłości rozwiązana, gdyż budowa drogi rządowej, prowadzącej w głąb kraju, a mającej przejść przez polskie plantacje, nabrała tempa, odkąd prace zostały przejęte przez Firestone Comp.

O tym, że jednak opłaca się inwestować duże kapitały w Liberii świadczy choćby wspomniana Firestone Comp. Amerykański ten trust założył ogromne plantacje kauczuku w Liberii i w przeciągu paru lat do 1938 roku włożył w te plantacje ponad 30 milionów zł. Według zaś oficjalnych informacji zysk ze sprzedanego, a wyprodukowanego na własnej plantacji kauczuku w 1937 roku, wynosił ponad milion złotych.

Również holenderski syndykat przez parę lat zatrudniał kilkudziesięciu inżynierów przy poszukiwaniu i eksploatacji złota i diamentów, obecnie zaś otrzymawszy koncesję na eksploatację rud żelaznych przystępuje do budowy linii kolejowej do White Plaine oraz budowy portu w Monrowii.

Bogactwa mineralne Liberii są duże, gdyż oprócz diamentów, złota, żelaza znajduje się tam miedź, mangan, oraz prawdopodobnie węgiel i nafta.

Jeżeli chodzi o handel — to Niemcy, Holendrzy, Francuzi, Anglicy i nawet Amerykanie mają swoje

potężne firmy handlowe w Liberii, które zakupują bezpośrednio surowce od krajowców oszczędzając w ten sposób swym krajom rocznie wiele milionów.

I dla firm polskich znalazłoby się w Liberii miejsce. Niestety, mało kupców polskich zdaje sobie z tego sprawę, że możliwości eksportowe z Polski do Liberii są duże.

Nie trzeba jednak zapominać, że rynek afrykański jest inny niż jakikolwiek europejski, Murzyni zaś mają swoje upodobania, których nie zmieniają łatwo. Jest jeszcze jedna rzecz, o której podchodząc do zagadnień afrykańskich nie można zapomnieć, — każda akcja czy interes wymaga kapitału i doświadczenia. Dlatego też, chcąc nawiązać bezpośrednie stosunki handlowe między Polską a tamtejszymi kupcami, należało by zorganizować odpowiednią sieć faktoryj i wielkich domów towarowych, tak jak to robią np. Anglicy czy Amerykanie. O tym, że polski towar zarówno pod względem jakości, jak i ceny wytrzyma konkurencję, świadczy chociażby zorganizowana w swoim czasie przy czynnym współudziale LMK wyprawa s/s Poznań do portów Zachodniej Afryki. Akcja ta przyniosła pozytywne wyniki, niestety jednak nie miała naśladowców.

Wracając do plantacyj w Liberii muszę zaznaczyć, że komunikacja między Monrowią a polskimi plantacjami bardzo się poprawiła. Droga bowiem, od której w 1934 roku byliśmy oddaleni o 9 godzin marszu, obecnie przybliży się w szybkim tempie i w tej chwili odległość dzieląca plantacje od końca drogi wynosi 3 godziny i stale się zmniejsza tak, że wkrótce kwestia transportu nie będzie przedstawiała trudności.

Nabyte doświadczenie pozwoliło obecnie na doprowadzenie plantacji do takiego stanu, że plantatorzy mogą śmiało patrzeć w przyszłość, wiedząc że wysiłki ich pracy wydadzą owoce.

KAZIMIERZ ARMIN

Wspomnienia polskiego kolonisty

Podczas dwudziestoosmiodniowej podróży na m/s „Vatussi“ motorowcu Voermann Line, myślałem tylko o Czarnym Łądzie. Wiedziałem o Afryce tyle, co wie mniej więcej każdy. Znałem jej faunę i florę — oczywiście z książek... no i kina. Wiedziałem trochę o Murzynach, coś nie coś o upale. Byłem przygotowany, że zaraz po wylądowaniu trzeba będzie rozpocząć twardą walkę z przyrodą, toteż doznałem niemałego zdziwienia, gdy nasz „Vatussi“ zawinął do Lobito, głównego portu Angoli.

Lobito oddzielone jest od oceanu półwyspem. Zupełnie niespodziewanie zobaczyłem piękne nowoczesne miasto. Liczne luksusowe i ultranowoczesne wille kontrastowały w sposób jaskrawy z egzotycznym wyobrażeniem, na które byłem przygotowany.

— To jest ta Afryka? — zauważyłem nie bez pewnego rozczarowania.

Na szczęście, jak miałem się niebawem przekonać, Lobito to jeszcze nie cała Afryka i ów oczekiwany egzotyzm, za którym potrosze tęskniłem, nie sprawił mi tak sromotnego zawodu, jak mogło zdawać się na wstępie.

Wyjechałem samochodem z Lobito do Posto Quipeio, które jest centrum kolonistów polskich i przede wszystkim zwróciłem uwagę na fakt, że nawierzchnia szosy jest wprost idealna. Mimowoli pomyślałem o stosunkowo niedawnej przejażdżce po naszych drogach — porównanie wypadło stanowczo na korzyść Afryki.

Nie na długo jednak zatopiłem się w tych rozważaniach. Oto po prawej stronie samochodu ukazuje się jeden, dwa, kilka cieni. Suną szybko równo-

legle z nami. To zebry. Galopują, pragnąc najwi-
doczniej prześcignąć samochód. „One tak zawsze —
mówi mój czarny szofer — zebra być głupie stwo-
rzenie, nie rozumieć samochód i chcieć galopować
szybko, szybko.“ Prawdziwa wzgarda zabrzmiała
w głosie mego ciemnonocnego rozmówcy.

Bez przygody mijamy przełęcz łańcucha gór
Bucoie, biegnącego z północy na południe. Lecz
oto na czystym przed chwilą horyzoncie, spo-
strzegamy olbrzymią czerwoną chmurę, która roś-
nie w oczach. Zdaje się, że słońce przykryła wielka
ciemno-ruda zasłona. Jednocześnie mimo warkotu
silnika do uszu naszych dochodzi równomierny, sta-
le wzrastający szum, jakieś suche, chropowate sze-
leszczenie.

— Co to jest? — pytam zaniepokojony.

Oczy kierowcy stają się dziwnie błyszczące.
Chwilami widać tylko białka.

— To szarańcza. Bardzo, bardzo dobra szarań-
cza — szofer mlaska smakowicie językiem.

Dowiaduję się później, że szarańcza jest ulubio-
nym przysmakiem czarnych. Taka, pięknie wyglą-
dająca chmura szarańczy ciągnie się nieraz setka-
mi kilometrów i biada plantacji, na której osładzie,
bo pożarte zostanie dosłownie wszystko. Po jej
przejściu z kwitnącej plantacji zostaje tylko las su-
chych badyli. Miliardy żarłocznych owadów opa-
dają o zmroku, by po nocnej sjeście poderwać się do
dalszego lotu. Po przybyciu do Posto Quipeio, za-
warłem pierwszą znajomość z innym szkodnikiem
afrykańskim „bissonda“, wielką czerwoną mrówką.
Owad ten posiada mocne kleszcze i wyrwać go mo-
żna jedynie z ciałem, toteż stanowi postrach dżun-



Plantatorzy polscy w Angoli



Drzewo objedzone przez szarańczę

gli. Ucieka przed nią wszystko: lew, słoń, nosorożec. Mrówki te mają doskonale zorganizowane społeczeństwo i robią prawdziwe wyprawy wojenne. Walka z nimi jest nadzwyczaj trudna. Jeżeli chodzi o faunę Angoli, zauważyłem już w tej pierwszej wyprawie, że trudno sobie wyobrazić większą różnorodność. Zebry, żyrafy, słonie, hipopotamy i wiele, wiele innych zwierząt zdaje się przenosić nas w świat jednego z tych wielkich egzotycznych filmów, które tak chętnie oglądamy w Europie.

Mnóstwo wrażeń rozprasza naszą uwagę, droga nie dłuży się wcale.

Mijamy Bailundo i Chitatamera, dwa niewielkie miasta leżące na szlaku, łączącym Lobito z Kongiem Belgijskim. Na tym szlaku leżą polskie plantacje.

Wiele się u nas mówiło o Polakach w Angoli, rzeczywistość jednak przedstawia się nieco odmiennie. Jeśli chodzi o plantacje stanowiące własność Polaków, to trzeba wymienić Boa Serra o powierzchni 1.000 ha należąca do hr. Michała Zamoyckiego, Sandivi — należąca do p. Dekkańskiego, który zamieszkuje tam wraz z żoną i synem. Plantacja ta ma powierzchnię 600 ha. Mniej więcej taką samą plantację posiada p. Jesionowski — (Chera) oraz obecnie niżej podpisany (o powierzchni 2.000 ha) pod nazwą Maria Krystyna. Wspomnieć jeszcze należy o plantacji p. Rodziewiczza, położonej w innym „posto” — Quissala. Stosunek władz kolonialnych do Polaków jest bardzo życzliwy.

Na plantacjach, jako najcenniejszy produkt uprawia się kawę. Kawa wymaga przynajmniej sześciolletniego hodowania, zanim przyniesie odpowiednie

plony. Należy jednak przypuszczać, że już w niedługim czasie będziemy mieli w Polsce własną kawę, sadzoną przez polskich osadników. Poza tym nasi osadnicy zajmują się hodowlą pszenicy, kukurydzy, grau de bico (specjalny gatunek grochu) oraz owoców. Mamy wiele plantacji ananasów, sadów mandarynkowych i pomarańcz. Plantacje można na ogół podzielić obecnie na następujące grupy. Mnie więcej 200 ha plantacji kawy, 600 ha pszenicy, eukaliptusów oraz wspomnianego grochu i 1.000 ha owoców podzwrotnikowych.

Tryb życia kolonisty jest bardzo jednostajny. O godzinie 6-tej rano budzi go tam-tam. Kolonista przydziela czarnych robotników do pracy, która trwa do godz. 7-ej wieczór z godzinną przerwą na obiad. System pracy jest zorganizowany w ten sposób, że każdym 10 Murzynów ma swego nadzorcę, t. zw. „capatarza”, który odpowiedzialny jest za całokształt pracy przed białym. Murzyni odnoszą się do białych na ogół przychylnie. Widzą w nich rasę wyższą, spełniają życzenia ich bez oporu.

Pragnąłbym jeszcze nadmienić słów parę o wierzeniach murzyńskich. Negr środkowo-afrykański w ścisłym tego słowa znaczeniu religii nie posiada. Nie wie, co to jest Bóg, jako człowiek niezmiernie lekkomyślny nie zadaje sobie nawet trudu wysunięcia koncepcji jakiegokolwiek bądź życia pozagrobowego. Jedyną religią jego jest „strach”, który przeniesiony w płaszczyznę wierzenia, wyraża się w całkowitym uznaniu dla czarów i czarownic.

Oryginalny jest stosunek Murzynów do nauk misjonarzy katolickich. Murzyn wysłuchuje bardzo uważnie wszystkiego, co mu prawi kaznodzieja, nie odstępując przy tym zupełnie od własnych przekonań. Byłem osobiście świadkiem następującego wydarzenia:

Do misjonarza zgłosił się z prośbą o chrzest Negr ochrzczony ubiegłej niedzieli. — Przecież zostałeś już ochrzczony — powiedział ksiądz.

— To mnóstwo mało szkodzić — odparł Murzyn — ja chcę znów nie pracować przez dzień cały u białą człowieka i dostać sztukę perkalu.

Zrozpaczony ksiądz począł przypominać nauki, które przez czas dłuższy wykladał, przytaczać ustępy katechizmu, aż wreszcie by plastycznie oddziaływać na wyobraźnię Negrą, napomknął coś o złym diable i o potępieniu wiecznym.

— Ja ci powiem padre — replikował Murzyn — nam diabeł nic nie szkodzić, gdyż każda Negr stworzona przez diabeł na pożytek białemu, a sobie na uciechę. Murzyn nasz praojciec nie chce harować i pobiec szybko, szybko do strumienia, aby się umyć i wyglądać jak biały. Ale zdążyć zamoczyć tylko stopy i dłonie. Zły szarpać włosy czarnego i powtarzać: „Białemu będziesz służył, póki nie umrzeć”. Dlatego my, czarni, wiedzieć, że tak być musi i nie bać się diabła.

Nie pomogły żadne argumenty. Murzyn był przekonany o prawdzie tego, co wie, bo przecież to jest takie proste: zło to jest praca, do pracy zmusza biały — zły duch zmusił Murzyna do służenia białemu. Raj to jest próżniactwo i dużo, dużo „czopu” (jedzenia). Filozofia nieodparta i dla każdego Negrą zupełnie rzeczywista.

JULIUSZ GEBETHNER

Baza morska w Singaporze

(Od specjalnego korespondenta „Morza”)

Dzień otwarcia bazy morskiej w Singaporze był napewno wielkim dniem dla W. Brytanii i dla Dalekiego Wschodu, a może nawet — i dla całego świata. W obecności dwunastu tysięcy zaproszonych gości, przedstawiciele najwyższych władz brytyjskich, cywilnych i wojskowych, reprezentantów Indii i Australii, Malaj i Nowej Zelandii, przy asyście potężnego zespołu sił zbrojnych, morskich, powietrznych i lądowych, przy huku ciężkich dział okrętowych i baterii nadbrzeżnych za-inaugurowany został uroczysto i oddany do użytku największy morski dok pływający świata: dok im. Jerzego VI-go. Równocześnie ogłoszono oficjalnie, że singapurska baza morska jest w ogólnych zarysach ukończona. Gotowe są również potężne umocnienia nabrzeżne, mające stanowić dla bazy tej ochronę przed ew. atakiem zewnętrznym. Gotowa jest wreszcie wielka baza lotnicza. Jednym słowem, imponujące dzieło obrony morskiej, o którym tyle mówiono i pisano w latach ostatnich, zostało ukończone. Wielki to dzień dla Anglii i zrozumiała jest jej duma z powodu realizacji na tak szeroką miarę zakrojonego przedsięwzięcia.

Dok im. Jerzego VI-go jest tak obszerny, że może pomieścić nawet transoceaniczne kolosy w rodzaju „Queen Mary”. Uzupełniony jest znakomicie zaopatrzonymi warsztatami. 2.200 stóp nadbrzeży betonowych i wielka ilość kranów, z których każdy ma siłę nośną 150 ton, wreszcie — dziesiątki kilometrów nowozbudowanych linii kolejowych — oto poszczególnie fragmenty tej olbrzymiej bazy morskiej. Kosztowała ona W. Brytanię, bez

fortyfikacji i bez urządzeń bazy lotniczej, około dwudziestu pięciu milionów funtów szterlingów (blisko siedemset milionów złotych). Praca nad całością trwała, co prawda z pewnymi przerwami, około 15 lat.

Parada morska oraz kombinowane manewry morsko-lotniczo-lądowe, które poprzedziły uroczystą inaugurację, miały przebieg niezwykle świetny i stanowiły demonstrację odradzającej się w szybkim tempie zbrojnej potęgi Anglii. Już niezwykle silna koncentracja floty brytyjskiej wskazuje jasno, jak wielką wagę przywiązywała admiralicja brytyjska do otwarcia nowej bazy. Dodać zaś jeszcze trzeba, że w uroczystościach wzięła ponadto udział eskadra Stanów Zjednoczonych złożona z krążowników: „Trenton”, „Memphis” i „Milwaukee”, w samych zaś manewrach lotnictwo brytyjskie reprezentowane było przez liczne eskadry ciężkich bombowców i aparatów pościgowych, które przy tej sposobności skorzystały po raz pierwszy z zupełnie już wykończonej bazy lotniczej w Seletar (wyspa Singaporze). Wśród najbardziej nowoczesnych urządzeń tej bazy lotniczej nie brak nawet hangarów i cystern podziemnych.

Kto jednak widział Singaporze i poznał dobrze to miasto, a raczej — wysepkę, oddzieloną od stałego lądu (Półwyspu Malajskiego) przez wąziutką cieśninę Johore, ten przyznać musi, że Anglicy słusznie czynią, wydając setki milionów i pracując tyle lat nad umocnieniem tego kawałeczka ziemi. Znaczenie Singaporze jest olbrzymie — o tym wiedzą wszyscy i dość pisano na ten temat w ostatnich latach. Dopiero jednak dłuższy pobyt w tym „przedsiönku



Singapore — przystań dżonek chińskich



Singapore — ulica w chińskiej dzielnicy

Dalekiego Wschodu“, zamienionym obecnie na niezdobytą twierdzę, dopiero dokładniejsze zapoznanie się z tym przedziwnym miastem przekonać może, jak kosztowną perłę w brytyjskiej koronie kolonialnej ono stanowi. I dopiero wówczas zaczyna się pojmować, dlaczego wszędzie w Malajach spotykamy pomniki: sir Stamforda Raffles, dlaczego nazwisko jego noszą tu hotele i szkoły, biblioteki i ulice, zakłady naukowe i szpitale. W miarę jak poznajemy Singapore, coraz bardziej zdumiewa nas genialna intuicja i orientacja tego samouka, skromnego urzędnika głośnej East India Comp., który wbrew własnemu społeczeństwu, wbrew zgorzonym szefom, naprzekór wszystkiemu i wszystkim, zakupił w roku 1819 tę bezcenną wyspę od sułtana Johore, płacąc mu za nią śmiesznie skromną rentą w sumie kilku tysięcy dolarów rocznie. Podziwiamy żelazną wolę i dar przewidywania człowieka, który na widok bezludnej, zarośniętej gęstą dżunglą, zamieszkałej przez tygrysy wysepki, zorientowawszy się jedynie w jej położeniu geograficznym, postanowił od razu, że tutaj a nie gdzie indziej powstać winna brytyjska baza morska na Dalekim Wschodzie, że tu jest klucz do mórz dalekich i fundament potęgi brytyjskiej w tych stronach świata. Uderza nas trafność jego sądu, gdy upierał się przy żądaniu, aby Singapore było raz na zawsze portem wolnym, nie płacącym ceł ani podatków, co stanowiło podług niego warunek sine qua non powodzenia całego przedsięwzięcia.

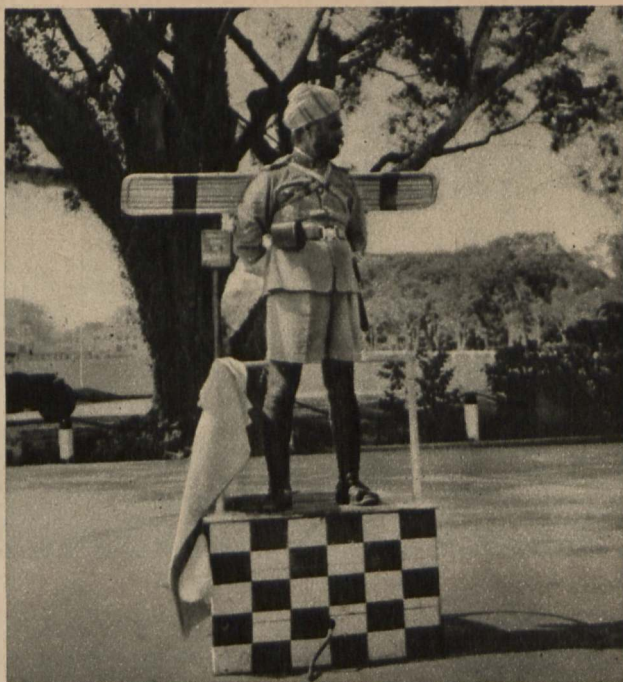
Komuż dziś przyszlaby na myśl dżungla, zamieszkała przez tygrysy, gdy zatrzyma się na chwilę w środku wspaniałego Bundu (bulwar nad-

morski Singapore), ludnej Prince Street lub pełnego gwaru placu Rafflesa? Któż pomyśli o bezludnej wyspie, znalazłszy się w olbrzymim porcie Singapore, przez który w obu kierunkach przechodzi rocznie kilkanaście tysięcy statków? Któż spośród znających gwarna, imponującą olbrzymimi obrotami singapurską giełdę, tę giełdę, która do pewnego stopnia decyduje o światowych cenach kauczuku i ołowiu, pomyśli, że w miejscu, gdzie wznosi się ona obecnie, polowano przed stu laty na dzikie zwierza i topiono się w bagnach? Tak dziwne się to wszystko wydaje, tak nieprawdopodobne...

Bo dzisiejsze Singapore jest nie tylko najpotężniejszą twierdzą morską świata i wielkim, światowym portem. Jest ono także olbrzymim, półmilionowym miastem, stolicą ludnego i bogatego Półwyspu Malajskiego, potężnym ośrodkiem kauczuku i ołowiu. Złoto płynie tu strumieniami, a jego blask nęci coraz to nowe gromady spragnionych łatwego zarobku włóczęgów, sprytnych i przedsiębiorczych śmiarków, którzy jutro będą tu szanowanymi powszechnie milionerami, lub biedne, bezradne, pionki ludzkie, które zginą szybko i bez śladu w rojnym kosmopolitycznym tłumie. I z tego właśnie ciągłego przyływu i odpływu coraz to nowych elementów ludzkich, z wartkiego biegu strumieni złota, z bajecznej choć minionej już zresztą łatwości wielkich zarobków, wytworzył się ów przedziwny konglomerat ras i narodowości, religii i języków, który nazywamy dziś „miastem lwa“—Singapore. Jest to niby stolica Malai, a mamy w niej zaledwie 68.000 Malajczyków na 550.000 ogółu lud-

ności, czyli nie wiele ponad 12%. Reszta? To Indusi, Europejczycy, Eurazjaci i przede wszystkim — Chińczycy. Bo Singapore — to właściwie kolonia raczej chińska, niż angielska. Na 550.000 ludności — 407.000 Chińczyków. A więc miasto i wyspa — oczywiście, politycznie i wojskowo angielskie, lecz ludnościowo niemal całkowicie chińskie. Ale nie tylko ludnościowo. Handel, finanse, przemysł — to wszystko jest w Singapore w rękach chińskich. I oto poruszamy tu kwestię, której znaczenie na Dalekim Wschodzie jest bardzo wielkie i która stanowić będzie temat jednego z naszych następnych artykułów: kwestię kolonii chińskich. Nie są to wprawdzie posiadłości kolonialne w politycznym tego słowa znaczeniu, lecz są nimi w sensie gospodarczym i ludnościowym, który zaś wzgląd ma większe znaczenie, który jest ważniejszy i trwalszy, to nam dopiero przyszłość pokaże.

Singapore zajmuje 22 kilometry kwadr. obszaru. Oczywiście, mowa tu o samym mieście, nie zaś o porcie, ani o wyspie. Większą część tego obszaru oddano pod ogrodowe części miasta, stanowiące dzielnice mieszkalne białych, w znacznej większości — Anglików. Szerokie, starannie asfaltowane i ocienione aleje, zabudowane tu są estetycznymi, przeważnie jednopiętrowymi pałacykami, ukrytymi w gęstwinie tropikalnej roślinności obszernych ogrodów. W tych wygodnych, komfortowych a nie raz wysoce luksusowych willach wiodą „kolonialny” żywot rodzinny urzędników, adwokatów, lekarzy, oficerów, bankierów i nielicznych kupców angielskich. W każdej willi — jedna rodzina, tak każe zwyczaj. A zresztą, budżety tych uprzywilejowanych są tak pojemne, a stopa życiowa jest tak wysoka, że stać ich na wiele rzeczy, które w Europie byłyby nie do zrealizowania. Każdy, ale to absolutnie każdy Europejczyk z Singapore posiada własny samochód. Każdy niemal należy do któregoś z niezmiernie drogich, luksusowo urządzonych singapurskich klubów. A tymczasem równocześnie każdy Chińczyk z Singapore oszczędza cent po cencie, od-

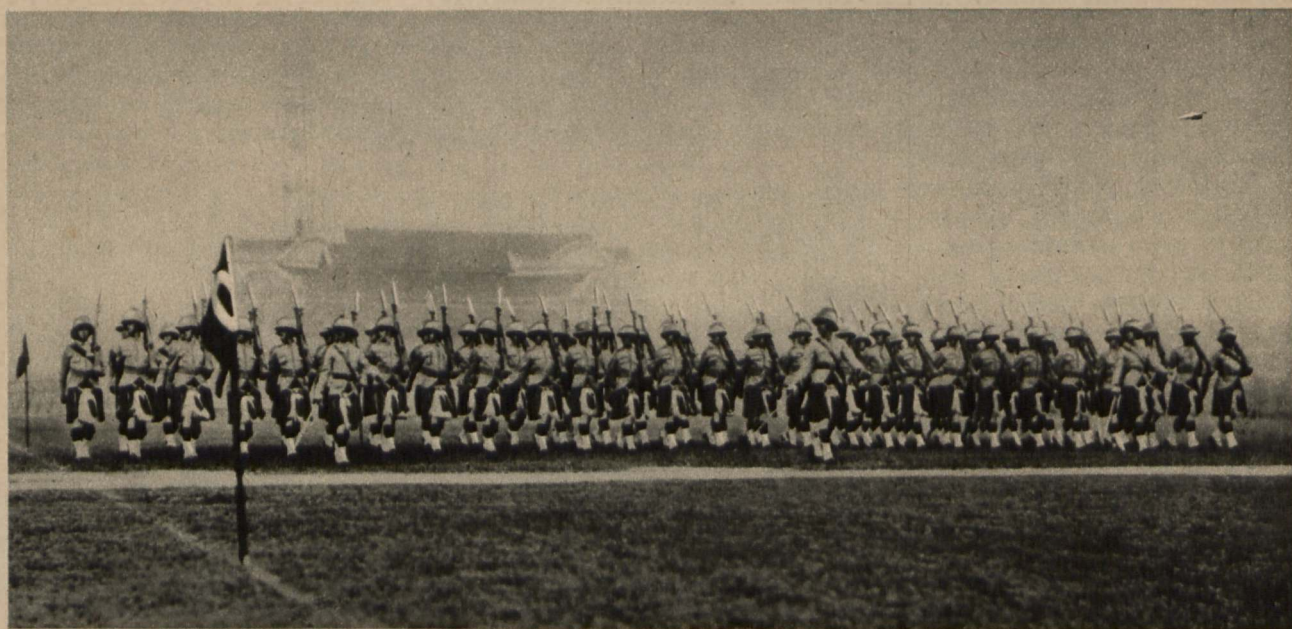


Policjant regulujący ruch na ulicy w Singapore

kłada, od ust sobie odejmuje i wykupuje, jeden po drugim, największe zakłady handlowe, przemysłowe i kredytowe, nie tylko samego Singapore, ale w ogóle — całych Malai. W City zaś singapurskiej ściany potężnych, wielopiętrowych buildingów coraz gęściej pokrywają się skomplikowanymi znakami chińskich nazwisk i napisów.

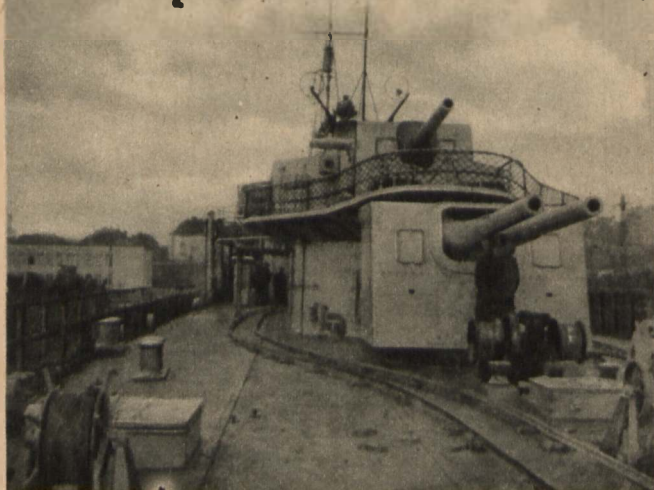
Pod względem jednak politycznym i wojskowym Anglia jest tu wciąż jeszcze wszechwładna i dziś nawet, po otwarciu bazy i twierdzy, potężniejsza może, niż kiedykolwiek przedtem. Z najwyższego punktu miasta, fortu Canning, dumnie powiewa nad wyspą sztandar Union Jack'a, a w świeżo zainaugurowanej twierdzy czuwają nad jego bezpieczeństwem potężne eskadry morskie i lotnicze.

EDWARD CZERW



Singapore — defilada wojsk szkockich

OKRĘT RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ „GRYF”



Artyleria O. R. P. „Gryf”

6 marca 1938 roku o godzinie 8.30 salut admirałski 13 strzałów oznajmił, że oto przybył Polsce nowy okręt wojenny — największy z istniejących dotychczas. O. R. P. „Gryf”, przewyżczywszy silne sztormy na morzach Północnym i Bałtyckim (w czasie których ciężkie chwile, jak to wiemy z gazet, przeżywał nawet trzy razy większy niemiecki krążownik „Köln”), zacumował się szczęśliwie w Gdyni.

Na „Gryfie”, symbolizującym ziemię pomorska, boć to Pomorze ma przecież „Gryfa” w herbie, kończy się seria okrętów nawodnych, budowanych w tak zwanej drugiej transzy — między 1934 a 1938 rokiem. W budowie są jeszcze okręty podwodne — „Orzeł” i „Sęp”.

Jednak kto by powiedział, że „Gryf” jest, w porównaniu do okrętów innych państw, okrętem małym i że jego 2.250 ton, to zaledwie jedna dziesiąta jakiegoś pancernika, — ten miałby słuszność tylko pozornie. Albowiem w dziedzinie obrony wybrzeża, „Gryf” stanowi czynnik poważny i nowoczesny. On to — jako stawiacz min — zagrozi w razie potrzeby drogę do Gdyni. W ciągu kilku godzin może postawić swe miny, których trałowanie (wydobycie) nie będzie łatwe. Jest to więc okręt obronny, świadczący o tym, że Polska cudzego nie chce, jednak swego tak łatwo nie da...

Gdybyśmy jednak tylko na okrętach obronnych poprzestali, to nie moglibyśmy zapewnić narodowi wolności morskiej. Albowiem obrona bierna nie wyprowadzi z pontu ani jednego okrętu na morze i ani jednego z morza do Gdyni nie sprowadzi. Do tego są potrzebne takie okręty, jak „Grom” i „Błyskawica”, jak „Wicher” i „Burza”, jak nasze łodzie podwodne i wreszcie ścigacze, krążowniki i pancerniki.

Na pierwszy rzut oka sylweta „Gryfa” budzi zdziwie-

nie. Przyzwyczajeni jesteśmy do innego rodzaju okrętów wojennych, bardziej smukłych, jeśli tak rzec można. Małeńki kominek na rufie też nie przemawia nam do przekonania. Dopiero gdy podejźmy bliżej, zdziwienie zamienia się w podziw. Sześć dział dalekonośnych w dwóch potrójnych bateriach, cztery działa przeciwlotnicze, karabiny maszynowe, granaty głębinowe, no i istny dworzec kolejowy z torami i zwrotnicami... dla min — wyglądają imponująco. A kominek jest dla tego mały, że „Gryf” jest okrętem motorowym i zamiast turbin posiada silniki Diesla o mocy 6.000 K. M. Jest więc ekonomiczny i dalekosiężny.

W czasie pokoju „Gryf” ma służyć, jako pływająca szkoła dla starszych roczników podchorążych. Są więc na nim pomieszczenia dla podchorążych i wykładowców. Pomieszczenia zupełnie inne niż na staruszcze „Wilii”, czy na innych okrętach, nie przystosowanych do szkolenia. Okręt ten odgrywać będzie poważną rolę — wychowa przyszłe pokolenie oficerów polskiej marynarki wojennej.

Z wymownych przykładów historii wiedzimy, co czeka naród, który budowy floty zaniedbał, albo który stworzył ją z samych sił lekkich, bez oparcia o eskadry ciężkie. Olbrzymie Chiny uległy ośmiokrotnie mniejszej Japonii, której wojska lądowały, gdzie chciały i jak chciały, stwarzając coraz to nowe sytuacje strategiczne, dla Chińczyków niepomysłne.

Zupełnie jak w Polsce w czasach „Potopu”, gdzie wybrzeże nasze, niebronione od strony morza, stało się tylko jednym wielkim przedpołem nieprzyjaciela, który bez przeszkód stworzył sobie zeń „przyczółek mostowy” na polskiej stronie Bałtyku. I z przyczółka tego, którego mostem była jego flota, zagroził Polsce całe.

Pamiętajmy, że nie bogactwo narodu jest powodem do budowy floty wojennej, ale ta właśnie flota jest źródłem korzystnych przymierzy, pokoju, bezpieczeństwa i dobrobytu narodowego. A radując się przybyciem „Gryfa”, myśleć już winniśmy o dalszych, coraz to większych i silniejszych okrętach — realizatorach naszych nadziei na lepsze jutro i naszej wolności suwerennej.

Inż. J. G.



O. R. P. „Gryf” w Gdyni

Juliusz Znaniecki

Doktor Brzoza

NOWELA

Przed wieczorem doktor Brzoza wstał z łóżka ustawionego w mrocznym kącie chaty. Na podłodze leżały ukośnami jasne smugi słonecznego światła, po ścianie pełzał drżącym ruchem przegowany cień moskitiery. Wiatr musiał poczynąć się za oknem.

Doktor siadł przy stole. Rysował paznogciem po powierzchni drewnianego blatu, po konturach tłustych i wypalonych plam. Z odwinętych rękawów bluzy brudnej i zniszczonej wyzierały muskularne ramiona o żółtawej skórze. Chuda szyja, pokryta szarym, dawno nie ogolonym zarostem rozwijała się w dużą głowę o czole szerokim i sklepionym mocno. Brunatna czaszka przeświecała z pod pasm złotych, rzadkich włosów.

Doktor Brzoza przykniął oczy, ale prawa dłoń nie spoczęła ani chwili krążąc po stole, niespokojna, jakby oddzielona od reszty ciała, zastygłego, zamykającego spokój w zarysie przygarbionych ramion. Ten sam spokój znużenia, co istniał na głęboko rzeźbionych rysach woskowej twarzy, wokół oczodołów, w zwarciu mięsistych, lekko skrzywionych ust. Plama słoneczna zatapiała w sobie długie palce lewej ręki doktora o paznogiach poobtupywanych i szerniałych.

Dziewczyna murzyńska nuciła za oknem cienką, monotonną melodię, przeleciał metaliczny szelest palmowych liści i zcichł. Doktor pochylił głowę i oparł czoło o chropowatą krawędź stołu. O tej porze wspomnienie Ewy przerastać zaczynało wszystko, cokolwiek zdarzyć się mogło w rzeczywistości, wszystko, co dać mogła ta ziemia rozprażona słońcem, gorzka w swym bujnym życiu, jak uparta myśl o minionym na zawsze człowieku.

O tej porze z myślą o Ewie ścierała się świadomość własnego niedoświadczenia. Jak długo jeszcze nie będzie umiał zdobyć się na siłę dalszej wędrówki? Tkwić tu na skraju rzeki, leczyć murzynów z wioski przybrzeżnej, pić i nienawidzić życia, co się wokoło rozwijało, a

od którego odgradzał go smutek nieustępliwy, a równie cenny, jak pamięć Ewy, to była dola, na którą się sam skazał. Wyszło w nim źródło czynu. Inni biali wydobywali z tej ziemi bogactwo i siłę, tworzyli życie, walczyli o nie, ratowali je, gdy było zagrożone. A nie mieli tej wiedzy, co on. Zamierzona wólcza urwała się niemal na początku. Nie miał już sił, tak jak zamierzał, objeżdżać osiedli, leczyć, badać klimatu, zakładać stacji doświadczalnych. Przecenił po prostu swą wolę. Okazało się, że cios, jaki go dotknął, zniszczył go gruntowniej niż on sam sądził.

Doktor dzwignął się od stołu. Wyszedł poza zasłonę. Pod liściastym dachem werandy, służąca murzyńska, Malua, pochylona, plotła jakąś matę. Nuciła cicho. Patrzył chwilę na gładkie obnażone plecy dziewczyny i jędrne ramiona. Przeszedł obok, bezwiednym ruchem dotknąwszy ich gorącej aksamitnej skóry, jak samego życia. Malua wyprostowała się pod tym dotknięciem. Doktor dawno odszedł już, a ona siedziała brązowa, nieruchoma jak posąg, lśniącą do bioder owiniętych spłowiłym perkałem.

Doktor Brzoza minął żywopłot. Stał chwilę patrząc, jak na polyskującą wodę rzeki, szklaną gładzinę, padają znad dalekich wzgórz blaski zachodzącego słońca. Moskity brzęczały żałośnie i cięży, jak wściekłe, nie opędał się im nawet, odrętwiały. Siwe dymy snuły się leniwie wśród brunatnych kopulastych chat na drugim brzegu rzeki. Ich narkotyzujący ruch, przerywany podmuchami wiatru, zabijał nawet smutek. Ludzie z wioski budowali tę kasbę, ludzie, których Brzoza leczył — z nudów. Żył zresztą w ciągłym strachu, że w końcu zdarzy się potrzeba jakiejś operacji, a wtedy on, doskonały chirurg, będzie musiał patrzeć bezradnie na chorego. Operacji bowiem już nie dokona nigdy. Nie dokona jej nawet na zwierzęciu.

Na zwalonym pniu nad rzeką Camp i Le Bruhaux gestykulowali

zawzięcie. Miał ich już dosyć, tych zwarliowanych tropicieli żuków razem z ich preparatami. Gdyby nie whisky, której mieli wielkie zapasy, zaproponowałby im wprost, by się przenieśli do innej chaty, choć w tych stronach był jedynym białym.

Idąc starał się ominąć przyrodników, ale ci go już dostrzegli. Le Bruhaux mały, czarny, wysuszony, wstał. Duży Camp tkwił na pniu. Zawołał.

— Hool Doktorze, prosimy do nas!

Brzoza skierował się ku nim. Daleko na wzgórzach czerniały lasy, niebem płynęły śniegi obłoków. Niedługo zaczynać padać deszcze, okolica zmieni się w jedno wielkie bagno. Wtedy febra pewna. Gdyby chciał stąd wyruszyć, wieś dałaby mu tragarzy. Wystarczy brzegami rzeki dotrzeć do brudnej faktorii, gdzie siedzi trzech wiecznie szczękających zębami Francuzów i gdzie dochodzi zadymiony, cuchnący parowiec. Stamtąd już niedaleko do morskiego brzegu. Brzegiem idzie lotnicza linia. Można by wrócić do kraju. Cóż, kiedy wszędzie czeka pustka.

Podszedł do pnia. Le Bruhaux potrzęsnał ptasią głową.

— Mówimy właśnie doktorze, iż w przyrodzie śmierć jest tym, czym serce w organizmie krążenia. Reguluje dopływ i odpływ świeżej krwi. W organizmie ziemi śmierć...

Doktor Brzoza siadł ciężko na pniu. Camp nie zgodził się ze swym towarzyszem i będą godzinami wiedli jałową gadaninę. Jeżeli złąpią żuka, zmienią temat. Słońce zajdzie, szernieje rzeka. Na stole w casbie zapłonie olejna lampa. Camp i Bruhaux i on sam upiją się. Potem oni wyjdą, on zostanie. On i smutny śpiew Maluy gdzieś w mroku ogrodowym i strzępiaste cienie na podziurawionych przez robaki ścianach. Cienie liści. Jak w odmęcie duszącej wody, gdzie smutki ludzkie znane i nieznanne zawsze muszą się stykać, bo te same są ich drogi.

Camp złapał żuka. Trzymał go właśnie wielkim i wskazującym palcem, odwróconego złotym podbrzuszem do góry i przebieierające go łapkami, gdy z daleka napłynął dźwięk cichy, jak brzęczenie moskity. Doktor Brzoza oderwał wzrok od swych złotych, popękanych bucików, spojrzął w górę. Wcięły wysoko w niebo między krwawymi obłokami pławił się w soku zorzy srebrny samolot. Położył się na wirażu i spływał łagodnie. Brzoza uniosł brwi, zdziwiony. Nie mogła to być maszyna linii francuskiej, brzeg morski zbyt jest stąd oddalony. Pod ukośnym słońcem zniżała lot, Camp przestał się zajmować żukiem, cisnął go w trawę i patrzył. Obok Le Bruhaux ze śmiesznie zadartą głową.

Samolot zatoczył kilka kręgów coraz niższych, Camp wzruszył ramionami.

— Szuka miejsca do lądowania — orzekł.

Brzoza obrzucił krótkim spojrzeniem wzgórze. „Do diabła” pomyślał „przecież na tym terenie nie wylądaje. Kark sobie skręci. Tak. Podchodzi do lądowania”.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, samolot pikował już, łagodnie z początku, potem coraz stromiej. Motor huczał nie zamknięty, szybkość wzrastała. Milczenie ogarnęło wszystkich trzech. Bruhaux mruknął coś zdławionym głosem i ucichł. Camp otarł z czoła krople zimnego potu. Motor rzęził, srebrne połyski smagały boki samolotu. Walił z nad lesistych wzgórz coraz niższy, kilka sekund długich jak godziny i oto wyrznął z ostrym brzęczącym hukem o zie-



I oto wyrznął z ostrym brzęczącym hukem...

mię i skapotował, wyrzucając w górę kępy trawy.

Gdy dobiegli, doktor Brzoza zobaczył na skrzydłach biało-czerwone znaki. Polski samolot! W dżungli afrykańskiej! Wyglądało to, jak senny majak.

Bezwładny pilot w obszernym combinezonie zwiisał z siedzenia wśród splekanych blach. Był sam. Odpięli pasy i Camp z doktorem wyciągnęli go ostrożnie. To ciało bezwładne, obwisające w ramionach, ziemisto-szara twarz, poznaczona czerwonymi pasmami krwi, zamknięte oczy, przejęty Brzozę wzruszeniem. Przesunęło się wspomnienie sal operacyjnych, białych, ciepłych, pachnących jodoformem i eterem. Błyski lamp scialicznych, fartuchy, brzęk narzędzi w wanienkach. Jakże świeżo pachniał ten eter w czasach, gdy bezwładne cia-

ła ludzkie wydawały się z ufnością dłońiom chirurga Brzozy.

Ułożyli nieprzytomnego lotnika na pożątkłej trawie. Brzoza macał czaszkę. Nie naruszona. Całe były również szczęki. Tylko nos ugiął się pod palcami. Brzoza rozpiął combinezon, słuchał, serce biło słabo. Tu chyba tylko operacja będzie mogła coś pomóc.

— Zdaje się, że jest z nim źle — powiedział. — Camp, niech pan idzie po nosze.

Camp odszedł. Le Bruhaux obchodził wkoło samolot wbity w ziemię silnikiem. Części strzaskanego śmigła leżały, jak odłamki kości. Le Bruhaux mrucał coś monotennie. Słońce świeciło z ukosa, niedalekie wody rzeki ociekały krwią blasku, jakiś dziki ptak nawoływał tęsknie nad rozległą płaszczyzną smutnych złotych trzcin. I cisza po huku spadającego samolotu. Brzoza klęcząc przy rannym, myślał o Ewie. Ogarnęło go pragnienie jej obecności, niedorzeczne, jak każde pragnienie obecności ludzi bezpowrotnie minionych. Klęczał w dziwnym cieniu strzaskanego skrzydła.

Wieczór. Murzyńska dziewczyna Malua nuci znów swoją monotonną, posępną piosenkę, oparta plecami o słup werandy, patrząca w księżyc, co wstaje nad kępą niskich palm. Milknie po chwili i wchodzi do casby. Bierze wiadro i bezszelestnie odchodzi. Ranny spoczywa rozebrany na łóżku, mdleje co chwila, Camp niezdarnie skrapia mu twarz wodą z drewnianego kubka, ściśniętego mocno w kościstych palcach. Mały Bru-



Samolot zatoczył kilka kręgów...

hauz z rękawami zakasany mi po ramiona myje stół ryżową szczotką. W świetle lampki drżą na ścianach ptasie, długie cienie, niktą nagle, starte rozjaśnieniem czerwonej poświaty, buchającej z ogniska rozpalonego w kominie. Szumi gorąca woda w aluminiowym kotle. Odblask płomieni cieknie po czarnych belkach chaty i chwile się, jak cień wiatru.

Brzoza odstawił postrzępioną walizkę, skóra jej była spleśniała i nadzarta przez mrówki. Odetchnął głęboko wciągnąwszy zapach dymu i trzymając na kolanach stos narzędzi lekarskich, ułożonych na starym fartuchu, grzebał w nich, brzęcząc palcami. Niektóre z nich poczerniałe, inne pokryte plamami świeżej rdzy. Dawno nie używane szczypce, haki, wzierniki, kleszcze, nożyce, lancety. Cała wiedza, całe czarodziejstwo walki ze śmiercią, rozdzwonione w jego rękach, niegodnych zaufania. Odrzucił niektóre zbyt już zniszczone narzędzia, resztę uniósł ostrożnie w fartuchu i wstał. Ręce niegodne zaufania jeszcze raz będą musiały dokonać próby ratowania życia. Jeżeli będzie operował, pilot może umrzeć. Nie operowany, umrze na pewno. Polak. Na wielkim obszarze afrykańskim spadł akurat w polskie ręce.

Gdy w chwilę później Brzoza tkwił przy ogniu, chudy, wydłużony, o fanatycznej twarzy i przygarbionych plecach, wygotowując narzędzia i strzępy dwu swoich koszul, weszła Malua z wiadrzem wody. Odwrócił się, z rękami pełnymi narzędzi, co w blasku zdawały się ociekać krwią migotliwą, wyglądał groźnie i tajemniczo. Zobaczył w oczach dziewczyny przeobrażenie. Uśmiechnął się, lecz w tej samej chwili i jego przejął lęk, zrozumiał, że za chwilę pochylił się nad sprawą ciemną i ponurą, jak głębia mrocznej wody, nad sprawą życia i śmierci. Dawniej był tylko chirurgiem, teraz trwożne człowieczeństwo wyzwalało się w nim i przeląkł się siebie. Ręce zaczęły mu dygotać lekko, ściągnęły się brwi. Dawno nie operował i oto znów powierza się mu żywe ciało, trzeba będzie ciąć, szyc, przepuszczać krew przez palce. Lęk rósł, był moment, że chciał rzucić wszystko i uciec.

— Wygląda pan, jak wielki cza-

rodziej — powiedział Bruhauz pliskliwym głosem.

Odwrócił twarz ku ogniewi i podjął pracę. W jarzeniu złotych węgli, w przelocie płatków popiołu, jasnoszarych i miękkich, jak śmy, mignęła twarz Ewy. Płomień zakłapał, strzelił i przygasił. Mały Bruhauz rzekł:

— Stół gotowy. Możemy przemieścić rannego.

Pogłębiał się na dworze nocny mrok, nasycony wiatrem. Doktor Brzoza pochylony nad stołem szły jeszcze, palce odzyskały sprawność, rozplątał się w nich kościasty bezwład. Sucha twarz Campa mroczyła w kręgu lampy, uniesionej wysoko, po drugiej stronie stołu balansował z nogi na nogę mały Bruhauz, zmęczony stanem. Malua smukła i milcząca zastygła na progu drzwi, jej rozszerzone, wielkie oczy połyskiwały. Nie odwracała ich od białego człowieka, czyniącego dziwne i straszne praktyki nad drgającym, nieprzytomnym ciałem, co białało na stole. Brzęk moskitów u okien opadał i wzbierał. Było gorąco, Brzoza otarł nagą ręką pot z czoła, zostały na nim smugi krwi. Złożył ostatni ścieg.

— Koniec — powiedział.

Stał wyprostowany, oddychając ciężko. Jak dotąd wszystko dobrze. Jeżeli tylko nie będzie zakażenia lub skrzepu. Jąkże to było dawno, gdy stał tak wyprostowany w chwili, gdy zastygło porażone serce Ewy. Wyszedł wówczas prosto z sali na balkon lecznicy. W gąszczu akacjowym śpiewał wiosenny ptak. Wtedy pomyślał, a myśl ta dzisiaj wróciła: „Czymże jest gra-

nica między życiem, a śmiercią. Nicia. Nicia tylko, wątleszą niż pajęczyna, a przecież dzieli światło od ciemności”.

Camp gwizdnął cicho, Bruhauz rozwarł szczękę z dziwnym mlaśnięciem.

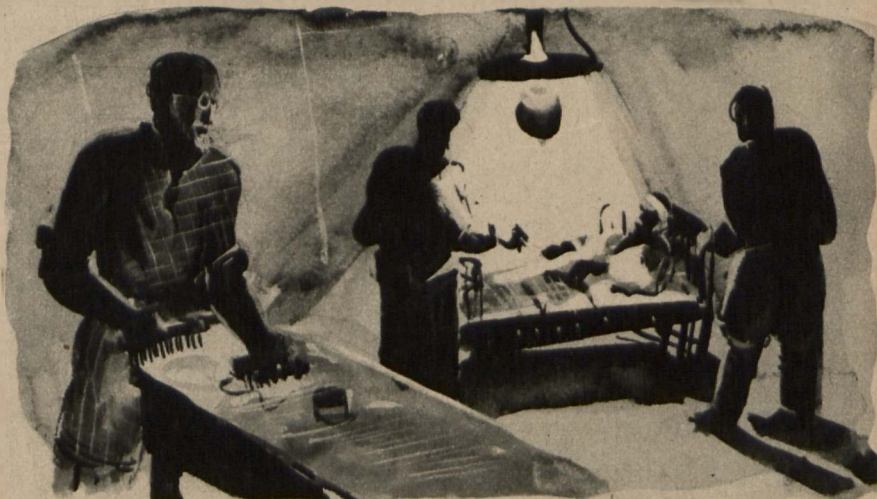
— Możemy go już chyba przemieścić na łóżko — powiedział Camp.

Wieczór. Murzyńska dziewczyna Malua przeszła przez ogród pełen niesamowitego żółtawego światła, podobnego chyba odblaskowi nadrzecznych trzciny. Doktor Brzoza i kapitan pilot Nowicki patrzyli chwilę za jej posagową postacią, nim odwrócili się i poszli dalej nad rzekę. Kapitan opierał się na zagiętej, sękatej lasce. Jego szereka postać kurczyła się jeszcze w chodzie, jakby ścigała ją niezliczone szwy i blizny. Szli bardzo wolno, pilot ostrożnie stawiał krzywe nogi. Górą ciągnęły obłoki zabarwione, jak stada czerwonych. Chropowata twarz lotnika o przelamanym nosie, grubyci szwach na podbródku i czystych lśniących, błękitnych oczach czerwieniła lekko pod poświatą.

— Muszę panu jeszcze raz podziękować, doktorze. Prędko mnie pan uzdrowił.

— Niezbyt prędko. Minęło już dobrych kilka tygodni. Ale cieszę się, że jest już dobrze. Miałem dużo zycia, jakbym robił dywanik z kawałków skóry.

— Aha — mruknął pilot. Dodał: — Nie uwierzy pan, jak mi się słabo zrobiło, gdy po odzyskaniu przytomności usłyszałem, jak pan do mnie mówił po polsku. Myślałem diabli wiedzą co. Że jestem



Ranny spoczywa rozebrany na łóżku...



Doktor Brzoza oparł się ramieniem o słup...

w kraju, albo już na drugim świecie. Co pan myśli. Lecieć tyle czasu nad brusą, spaść w jakimś pustkowiu i spotkać rodaka. Jest nas więcej na świecie niż sądziłem. No tak, ale z tym lotem miałem pecha.

— Co się właściwie stało pańskiej maszynie?

— Silnik. Ale nie sprawdzałem jeszcze, co właściwie. No tak. Taki lot dookoła kulki ziemskiej nie jest łatwy. Trudno, polecę jeszcze raz, jak już będzie dobrze. Widzi pan, doktorze, to jest tak, jak narkotyk. A przy tym jeszcze i to. Jak się leci, to na ziemię pada cień samolotu. Otóż ten cień polskiego samolotu na różnych lądach, na morzu, to tak, jakby symbol, czy, jak to panu powiedzieć... coś w rodzaju...

Zająknął się, poczerwieniał silnie, aż szwy nabrzmiwały i umilkł. Brzoza podniósł głowę pokrytą rzadkimi włosami. Rzekł:

— Rozumiem.

Zbliżyli się do rzeki. Z chat wsi płynęły, jak zwykle, leniwe dymy, pluskała woda przy brzegu, podrywając ziemię. Pilot zanurzył w ziemię koniec kija i szarpnął go silnym ruchem, wyrzucając grudki ziemi.

— Dobra ziemia. Czuje się w niej życie. Pewno dużo musi być na niej Polaków, co? Tutaj są potrzebni twardzi ludzie? Co?

— Nie wiem — powiedział Brzoza. — Nie szukałem polskich osiedli.

— Chodziłem trochę po okolicy wczoraj i dziś — powiedział pilot po chwili milczenia — obejrzałem wioskę. Poco pan właściwie tu siedzi? Pewnie, że nawet tych kilkadziesiątu Murzynów potrzebuje pomocy, ale są i inni potrzebujący

jej. Zszył mnie pan tak doskonale, ma pan dobrą rękę. Szyto mnie już kilka razy. Ma pan szczęście w operowaniu. Tak mi się coś zdaje, że nie wiele mi się już należało, a pan mnie wyciągnął. Przecież w tym pustkowiu nie ma pan kogo operować. Niech pan wędruje.

— Przyjechałem tu właśnie z takim zamiarem. Ale utknąłem. Nie mam sił, ani woli. Nie operowałem od dłuższego czasu.

Skręt rzeki błysnął, jak metaliczna tarcza. Kapitan przesłonił oczy dłonią i patrzył. Rudawe włosy wicherzyły mu się na kanciastej czaszce.

— Podczas lotu lądowałem w jednej z osad w Południowej Ameryce — mówił wolno — była to akurat polska osada. Tego dnia drzewo przywaliło dwu ludzi. Kości polamane, ściętna w strzępach, ale przy dobrym szyciu mogliby żyć. Drogi niezłe, lecz cóż, skoro kilkadziesiąt mil wokoło ani jednego chirurga? Zaczęli więc leczyć tych dwu domowymi środkami. Pod wieczór już gangrena. W bliskim miasteczku był lekarz, ale taki, że jak się zabrał do ran, to tylko trumnę zbijać.

Brzoza oglądał w zamyśleniu swe długie palce i czystą dzisiaj paznokcie.

— Widzi pan — rzekł wyciągając ręce — nie mam zaufania do moich rąk. Dlatego tu siedzę. Pójść między ludzi i operować, krajać żywe ciała, które czekają życia od tych rąk, to jest to samo, co nosić wielki ciężar ludzkiej ufności.

Przystanęli. Powolny, rdzawy nurt pluskał lekko o zmurzały pień drzewny, smużył się i szklł pod zorzą wieczorną.

— Kiedyś — mówił cicho doktor — miałem żonę. Bardzo młodą i

bardzo ładną. Zachorowała ciężko: trzeba było koniecznie operować. Myślałem: żaden lekarz nie zna jej ciała tak, jak ja. Żaden go nie kocha. Miłość to także dobry środek leczniczy. Chciałem, by żona moja tylko mnie zawdzięczała wyzdrowienie, chciałem ją silniej do siebie przywiązać, by zawiątała moim ręką, jak ja im ufałem. Postanowiłem, że będę ją sam operował. Tego się nigdy nie powinno robić. Lekarze odradzali mi i słusznie. No cóż, uparłem się. Operowałem. Zmarła na stole operacyjnym. Mimo to operowałem później jeszcze parę osób, zawsze z wynikiem śmiertelnym. Włęcz uciekłem.

Pilot uderzał kijem w wodę, krople wytryskiwały. Rzekł:

— To są zdarzenia, którym się nikt nie wywinie. Ja spadałem nieraz, a przecież mam zaufanie i do maszyny i do rąk. I latam. To jest moja wyższość nad zdarzeniami. Co się tyczy pana. Niech pan mi pomoże przewieźć samolot i niech pan rusza dalej. Przecież ktoś musi ratować życie naszych ludzi, co tkwią na tej ziemi. Ktoś musi znać jej klimat i pomóc zbudować most między nią a nami, co? Żeby pan widział ile wiary ma w oczach ta dziewczyna, gdy patrzy na pana. I ci przyrodnicy. I ja. No, wracamy, co?

W poczynającej się nocy doktor Brzoza wyszedł na werandę.

Księżyc zbieleł już, cienki, okrągły, naświetlał zimnym blaskiem głębokie niebo. Ale noc sama była gorąca, bez żadnego powiewu. Daleko na wzgórzu tkwił srebrny kształt samolotu, spokojny, czuwający pod nocą. Doktor Brzoza oparł się ramieniem o słup. Pojął, że z tym znakiem rzuconym tutaj, znakiem, co dziwnym zrządzeniem z dalekiej ojczyzny lecąc, aż tu go odnalazł, pocznie się w jego życiu przemiana. Wydobyta zostanie zaprzepaszczone siła na użytek ludzki, na użytek życia. Za d'ugo już grzął w przeszłości, skoro przyszłość leżąca odłogiem potrzebowała jego rąk. Jakże świeci ten znak ojczyzny. Nie będzie już można spocząć po jego ukazaniu się, tak czuć, że już nie zakazaniu. Dalej i dalej po ścieżkach tej ziemi stąpać będzie i odnajdywać życia potrzebujące pomocy. Śmierć czuwająca zmusza do czuwania życia, a któż ma czuwać jeśli nie ci, co posiadli wiedzę?

SPRAWY KOLONIALNE

Niemieckie żądania kolonialne znalazły wyraz w mowie wypowiedzianej przez kanclerza Hitlera w Reichstagu w dniu 20 II. r. b.

Odnosny ustęp tej mowy brzmi w sposób następujący „Bez względu na to, na jaki zdobylibyśmy się wysiłek w dziedzinie produkcji — mówił kanclerz — nie może on zastąpić braku przeszerzeni, jaki odczuwamy.

Toteż z roku na rok będą coraz silniejsze reklamacje Niemiec o ich dawne kolonie, zabrane przez narody, dla których są one bez wartości, podczas kiedy dla nas są one niezbędne.

Chciałbym tutaj przeciwstawić się nadziejom, że te nasze pretensje mogą być zaspokojone przez kredyty. Nie chcemy kredytów — lecz podstaw do życia, które by nam umożliwiły zabezpieczenie bytu narodowego przez własny wysiłek.

Przed wszystkim nie chcemy naiwnych zapewnień, że będzie nam wolno kupić to, czego potrzebujemy. Raz na zawsze odrzucamy takie wyjaśnienia, które w naszym kraju uważane są wyłącznie za sznyderstwo.

Nie ma żadnej recepty gospodarczej, która mogłaby całkowicie zastąpić możliwość intensywnej gospodarki w zakresie własnych wpływów“.

W swoim przemówieniu w Reichstagu, z którego przytaczamy powyższy ustęp, Hitler podkreślił również „że między Niemcami a Wielką Brytanią nie ma żadnych spraw spornych, za wyjątkiem kwestii kolonij“.

Pogląd ten został podchwycony przez szereg pism angielskich, których głosy przytacza „Deutsche Kolonial Zeitung“ z dn. 1.III. b. r.

Na ogół prasa niemiecka śledziła pilnie reakcję zagranicy po mowie Hitlera, cytując całe ustępy z tych pism, oczywiście przychylnie.

Kwestia niemieckich żądań kolonialnych, która ma być jakoby jedyną kwestią sporną między Niemcami a Wielką Brytanią, została poruszona w rokowaniach, jakie miały miejsce w Berlinie w pierwszych dniach marca b. r. między ambasadorem Wielkiej Brytanii Hendersonem, a kanclerzem Hitlerem.

Kwestia ta miała być podobno najtrudniejszym punktem rokowań.

Kanclerz Hitler w dalszym ciągu stanowczo odmawiać ma rozpatrzenia tego zagadnienia łącznie z innymi kwestiami politycznymi, uważając sprawę kolonialną za oddzielną całość, gdy stanowisko Anglii jest przeciwne.

Prezes niemieckiego Reichskolonialbundu gen. von Epp po powrocie z Libii wygłosił w Rzymie znamieny odczyt poświęcony niemieckim roszczeniom kolonialnym.

Mówca przypomniał słowa Mussoliniego poświęcone tej sprawie w dn. 28 października 1937 r. oraz fragmenty z mowy Hitlera wygłoszonej niedawno w Reichstagu.

„Niemcy — mówił między innymi gen. von Epp — chcą jedynie powrócić tam, gdzie już pracowali i gdzie zdobyli doświadczenie. Ich żądania nie prowadzą do wojny, lecz stanowią gwarancje pokoju“.

W zakończeniu gen. von Epp wyraził nadzieję, że drogą pokojową niemieckie roszczenia kolonialne zostaną zaspokojone.

„Małe podarki podtrzymują przyjaźń“. — Niewątpliwiezymał się tej zasady Mussolini, wysyłając sto tysięcy kilogramów kawy abisyńskiej dla Niemiec na rzecz pomocy zimowej. Transport ten przyszedł w ostatnich dniach lutego do Hamburga. Na każdym woreczku umieszczona była następująca dedykacja Mussoliniego „Oby milionom Niemców dobrze smakowała ta kawa z Harraru“.

Kapitan statku włoskiego, oddając swój ładunek oświadczył: „Dar Duce symbolizuje życzenie Włoch, aby przyjacielskie Niemcy odzyskały wkrótce swoje kolonie“.

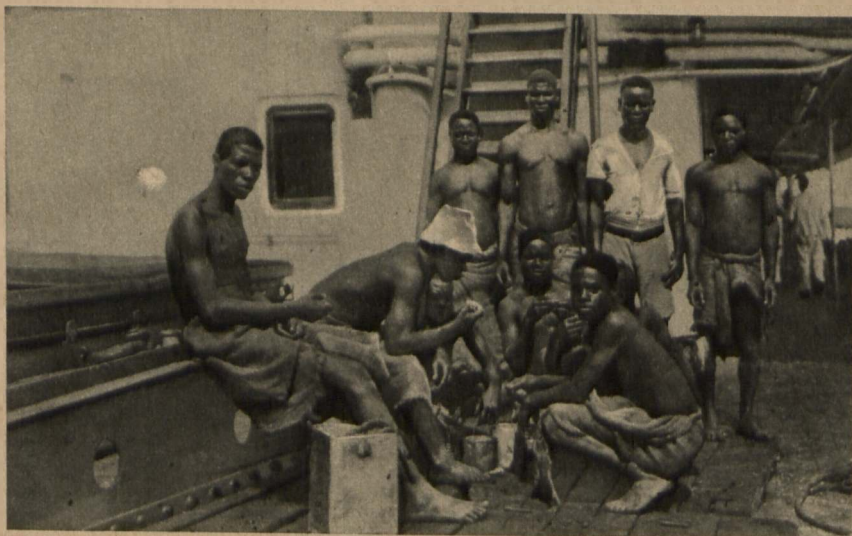
Były portugalski minister kolonij dr José Silvestre Bossa, ogłosił w „African World“, ciekawy artykuł p. t. „Niebywały rekord białego osadnictwa w tropikach“.

Dowiadujemy się z tego artykułu, że w Angoli na początku XX wieku znajdowało się około 10.000 białych, w roku 1920 cyfra ta się podwoiła, a w r. 1934 osiągnęła liczbę 36.192. W r. 1935 liczba białych, zamieszkałych w Angoli, wynosiła już 58.098.

W piśmie „The African World“ z dn. 5. III. b. r. znajdujemy charakterystyczną notatkę o krokach przedsięwziętych przez Rząd Unii Południowo - Afrykańskiej, celem zarezerwowania dostatecznej ilości ziemi dla białego osadnictwa.

Mianowicie Rząd Unii Południowo - Afrykańskiej przewiduje wydatkowanie co najmniej 1 miliona funtów rocznie na europejskie osadnictwo rolnicze w ciągu najbliższych 10 — 15 lat, przy czym w ciągu najbliższych 5-ciu lat będzie osiedlonych od pięciu do sześciu tysięcy Europejczyków.

Zwiększenie środków finansowych na cele białego osadnictwa zostało wywołane przez prowadzoną w Unii, w myśl istniejącego prawa tzw. „Native Trust



Afryka zachodnia — tragarze murzyńscy na statku

& Land Act“, akcję wykupywania terenów, będących w posiadaniu Europejczyków, dla osadnictwa tubylczego.

Rząd Unii dąży do tego, aby zapewnić dostateczną ilość terenów dla tych wszystkich Europejczyków, których ziemia, w myśl wyżej wymienionej ustawy, będzie wykupiona.

Tego rodzaju akcja będzie prowadzona do chwili, aż przeprowadzony zostanie całkowicie plan osadnictwa tubylczego.

W dniach 5, 6 i 7-go maja r. b. ma się odbyć w Marsylii pierwszy Kongres Akcji Kolonialnej organizowany przy współpracy Instytutu Kolonialnego, Komitetu Tygodnia Kolonialnego i Syndykatu Prasy Kolonialnej. W latach następnych kongresy takie mają się odbywać kolejno w poszczególnych większych centrach regionalnych Francji.

Kongres w Marsylii ma być punktem wyjścia dla stałej współpracy międzyregionalnej, zmierzającej do pogłębienia i rozwinięcia francuskiej aktywności kolonialnej.

Klub urzędników służby administracyjnej w Kongo Belgijskim złożył urzędowi osadnictwa kolonialnego projekt, wg. którego urzędnicy administracyjni przechodzący na emeryturę mieliby pozostawać nadal w kolonii, jako osadnicy, zamiast powracać do kraju, tak jak to było do tej pory praktykowane.

Projekt powyższy sugeruje, aby urzędnikom administracyjnym przybywającym do kolonii, rząd udzielał działek ziemi, wielkości około 50 ha, z tym, że zobowiążą

się oni osiąść tam z chwilą opuszczenia służby państwowej.

W ten sposób będą mogli jeszcze w czasie swojej służby, w chwilach wolnych zająć się gospodarowaniem przydzielonej im ziemi, tak że z chwilą wyjścia na emeryturę będą mieli gotowy już warsztat pracy.

W kolonii Złote Wybrzeże na zachodnim wybrzeżu Afryki, która jak wiadomo dostarcza około połowy światowego zapotrzebowania kakao, wybuchł ostry konflikt między miejscowymi producentami kakao, a domami handlowymi, skupującymi ten produkt.

Już w końcu października ub. r. sytuacja na Złotym Wybrzeżu była naprężona. Niskie ceny ofiarowywane przez angielskie domy handlowe za kakao, wywołały wśród miejscowych producentów coraz wyższe niezadowolenie, aż w końcu przystąpili oni do zorganizowanej akcji, wstrzymując się solidarnie od sprzedaży kakao.

Jak donoszą pisma angielskie spadek ceny na kakao, zbiegł się przypadkowo z zawianiem pool'u (związku) domów handlowych skupujących kakao. Producenci mieli więc podstawę do przypuszczenia, że obniżenie ceny na kakao wynika na skutek porozumienia zainteresowanych firm europejskich.

O powadze sytuacji świadczyć może osobista interwencja brytyjskiego ministra kolonii, oraz fakt, że wysłana została na Złote Wybrzeże specjalna komisja, której zadaniem jest rozwikłać tę naprężoną sytuację.

Należy pamiętać o tym, że zbyt towarów importowanych do ko-

lonij, uzależniony jest od sprzedaży miejscowych produktów przez tubylców domom handlowym.

Straty powstałe wskutek tego incydentu obliczane są na wiele milionów funtów szterlingów.

„Deutsche Kolonial-Zeitung“ z dnia 1. III. b. r. przedrukowuje artykuł z murzyńskiego pisma „The Crisis“, omawiający opisane powyżej wypadki na Złotym Wybrzeżu. Artykuł ten, jako istotną przyczynę wybuchu „wojny kakaowej“ na Złotym Wybrzeżu, podaje wyzysk angielskich domów handlowych, skupujących od tubylców kakao poniżej jego istotnej wartości.

Te metody wywołały w całym kraju strajk rolny i bojkot importowanych towarów.

W angielskim Parlamencie, ieden z deputowanych konserwatyistów, zwrócił ostatnio uwagę ministra kolonii na prowadzoną w Tanganice propagandę niemiecką, o charakterze anty - angielskim, która przybiera coraz większe rozmiary — i prosił o poczynienie odpowiednich kroków, celem przeciwdziałania tej propagandzie.

P. Ormsby Gore odpowiedział, że jest poinformowany o istnieniu tego rodzaju akcji propagandowej w Tanganice i że rząd tego terytorium mandatowego zajął się już tą sprawą.

Zrzeszenie Studentów Studium Migracyjno - Kolonialnego WWP przystąpiło do wydania skryptów z przedmiotów wykładanych na studium Migracyjno - Kolonialnym WWP.

Komplet skryptów I roku składa się z następujących wydawnictw: Zagadnienia kolonialne — prof. J. Dębskiego. Handel międzynarodowy — dr. H. Strasburgera. Socjologia emigracji — prof. J. Chałasińskiego. Historia dyplomacji — dr. K. Bertoniego. Historia osadnictwa polskiego — prof. St. Dziewulskiego. Zagadnienia polityki populacyjnej — prof. St. Szulca.

Komplet skryptów II roku: Historia kolonialna — Zagadnienia finansowe w stosunkach międzynarodowych. Geografia kolonialna. Higiena tropikalna. Rolnictwo tropikalne. Prawo konsularne i technika służby konsularnej. Międzynarodowa polityka migracyjna i kolonizacyjna. Zamówienia należy wysyłać pod adresem Zrzeszenia—Warszawa, ul. Opaczewska 2-a.



Typy murzyńskie z plemienia Bantu w Angoli

Z ŻYCIA MARYNARKI WOJENNEJ

Hiszpania. Ambasador rządu madryckiego w Londynie oświadczył urzędowo w Min. Spraw Zagranicznych, że w myśl otrzymanych i rzekomo sprawdzonych wiadomości, Włochy odstąpiły powstańcom następujące okręty: kontrtorpedowiec „Aquila” i „Falco” po 1.400 ton przemianowane na „Velasco - Ceuta” i „Velasco - Melilla”, torpedowce „Alessandro Poerio” i „Guglielmo Pepe” po 850 ton, oraz 2 okręty podwodne przemianowane na „Mola” i „Sanjurjo”. Wszystkie te okręty są bazowane w Soller na Majorce.

Włochy. W ciągu lutego wodowano następujące okręty: torpedowce transzy 1936 „Lince” i „Alcione” (680 ton, 34 węzły, 3 działa 100 mm i 4 po 47 mm przeciwlotnicze, 4 wyrzutnie torpedowe i pewna ilość min), okręt podwodny „Nani” (940/1.300 ton, 17/9 węzłów, 2 działa 100 mm i 8 wyrzutni torped) oraz okręty podwodne „Scire” i „Tembien” (650/850 ton, 1 dział 100 mm i 6 wyrzutni torped).

Poza tym zamówiono już nową serię potężnych superkontrtorpedowców po 3.000 ton i nadano im nazwy wielkich wodzów rzymskich.

Francja. Minister Marynarki wystąpił z wnioskiem o przyznanie dodatkowych kredytów w wysokości 800 milionów franków, celem rozpoczęcia budowy dodatkowo dwóch pancerników po 35.000 ton. Zastąpiłyby one stare „Courbet” i „Paris”, które w myśl traktatu londyńskiego przekroczyły już granicę wieku i nie przedstawiają dużej wartości bojowej.

Spośród budujących się obecnie okrętów liniowych, „Strasbourg” rozpocznie próby odbiorcze w ciągu kwietnia, gotowość zaś pancernika o 35.000 ton „Richelieu” przewidziana jest w połowie 1939 roku, a „Jean-Bart” w połowie 1940 roku. Flota francuska liczyć będzie wówczas 7 pancerników, w tym 3 stare, lecz zmodernizowane, co stanowi ilość niewspółmierną z jej zadaniami oraz z koniecznością rozbicia jej na siły M. Śródziemnego i M. Północnego.

Niemcy. W budowie znajdują się obecnie dwa lotniskowce po 19.250 ton, uzbrojone w 14 dział 150 mm. Pierwotne plany zostały poważnie zmodyfikowane: zmniejszono znacznie ilość zakreutowanych samolotów, a zaoszczędzony w ten sposób ciężar

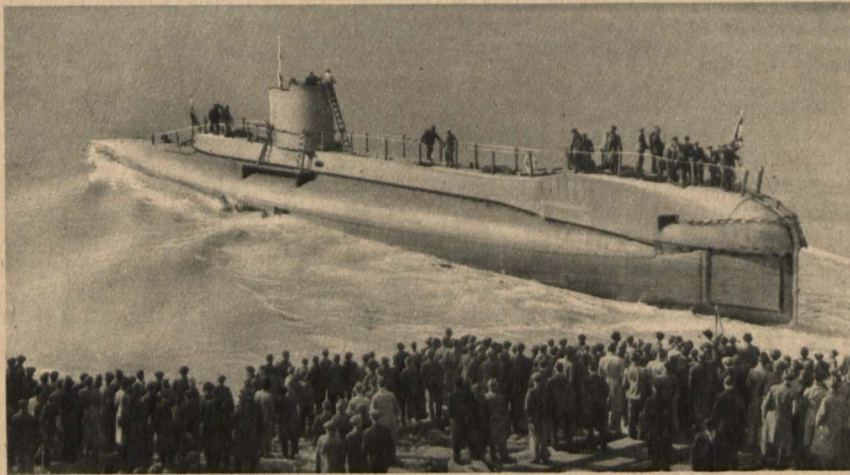
przeznaczono na wzmocnienie opancerzenia. Jak wiadomo, okręty tego typu mają bardzo słabe właściwości odporne, a z drugiej strony stanowią zarówno dla okrętów jak i dla lotnictwa nieprzyjacielskiego duży i z daleka widoczny cel.

Rozpoczęte w 1935 roku krążowniki po 10.000 ton z działami 203 mm „Blucher” i „Admiral Hipper” rozpoczęły już próby odbiorcze i prawdopodobnie zostaną wcielone w skład floty jeszcze z końcem bież. roku. Trzecia jednostka tego typu, „I”, będzie wodowana w czerwcu. Poza tym w budowie znajdują się 2 krążowniki po 10.000 ton i 2 po 7.000 ton, przy czym oba typy będą uzbrojone w działa 152 mm.

Anglia. W lutym wodowano następujące okręty: krążownik „Edinburgh” (10.000 ton, 12 dział 152 mm) oraz okręty podwodne „Urula” i „Unity” (540/740 ton, 1 dział 76 mm i 6 wyrzutni torped) i „Triumph” (1095/1595 ton, 1 dział 102 mm i 6 wyrzutni torped). Te trzy okręty podwodne zostały wodowane w stoczni V. Armstrong w ciągu pół godziny; przystępują one do prób odbiorczych jeszcze w końcu tego roku.



Fragment z manewrów floty amerykańskiej na Oceanie Spokojnym



Nowa angielska łódź podwodna „Unity”

W roku obecnym spodziewane jest wcielenie w skład floty 47 nowych okrętów, ogólnej wyporności 117.000 ton: pierwszy z serii nowych lotnikowców „Ark Royal” (22.600, 31 węzłów, 16 dział 113 mm, 70 samolotów). 3 krążowniki typu „Liverpool” (9.300 ton, 33 węzły, 12 dział 152 mm i 8 dział 102 mm przeciwlotniczych, 3 samoloty), 16 kontrtorpedowców po 1.850 ton i 16 po 1.650 ton oraz 11 okrętów podwodnych różnego typu.

Wobec pewnego napięcia stosunków z Włochami i wynikającego stąd możliwego zagrożenia drogi śródziemnomorskiej, Admiralicja Angielska coraz bardziej interesuje się dawnym szlakiem na Daleki Wschód poprzez Przylądek Dobrej Nadziei. Toteż postanowiono stworzyć nową bazę pomocniczą w Freetown (Sierra Leone), mniej więcej na połowie drogi pomiędzy Anglią i Kapsztatem. Port ma być rozszerzony i umocniony dodatkowymi bateriami obrony wybrzeża i przeciwlotniczymi, urządzone mają być duże składy paliwa i amunicji. Odnośne roboty będą rozpoczęte w tym roku.

Norwegia. W stoczni Horten wodowano pierwszy torpedowiec z serii 3 zamówionych w 1936 r.: 625 ton, 12.000 K. M., 30 węzłów, 3 działa 102 mm i 2 wyrzutnie torped. Stocznia ta buduje poza tym 2 trawlerzy po 280 ton. Nic nie słychać natomiast o nowych pancernikach obrony wybrzeża, które by zastąpiły stare „Norge” i „Tordenskjold”; okręty te mają ponad 40 lat i nie przedstawiają żadnej wartości.

Holandia. Budżet morski na rok 1938 przewiduje kwoty na rozpoczęcie budowy 1 krążowni-

ka typu „Sumatra”, uzbrojonego w 8 dział 152 mm i 2 samoloty, 2 kontrtorpedowce po 1.300 ton, 3 okrętów podwodnych, kilku ścigaczy oraz 10 wodnosamolotów dalekiego wywiadu. Poza tym przewidziana jest kwota około 2 milionów florenów na zakup dział dla statków handlowych na wypadek wojny.

Chiny. Klasycznym przykładem rozkładu sił zbrojnych Chin jest udział marynarki w obecnie toczącej się wojnie, o ile w ogóle można to nazwać udziałem. W dniu powstania konfliktu Chiny posiadały pewną ilość krążowników i kontrtorpedowców, które mogły skutecznie utrudnić transporty wojska i sprzętu wojennego, podążające z Japonii. Jednakowoż siły te ustosunkowały się jak najbardziej biernie, nie opuszczając nawet swych baz, tak że ostatecznie wszystkie nowsze okręty zostały potopione na skutek bombardowań lotniczych, bez podjęcia walki. W ten sposób poszły na dno lekkie krążowniki po 3.500 ton „Ping-Hai” i „Ning-Hai”, zbudowane według planów japońskich, starsze krążowniki „Ying Swei”, „Chao Hoi” i „Hai Chu”, oraz znaczna ilość kontrtorpedowców, w tym pochodzący z 1932 r. „Yat Sen” o 1.500 tonach.

Japonia. Od kwietnia 1936 w budowie znajdują się krążowniki

„Tone” i „Chikuma”: 8.500 ton, 33 węzły, 15 dział 155 mm i 8 po 127 mm, 4 samoloty. Pierwszy z nich został wodowany w listopadzie 1937, drugi zaś spłynie w końcu kwietnia; oba te okręty mają być gotowe w końcu przyszłego roku.

Poza tym zwraca uwagę potężne uzbrojenie nowych 10 kontrtorpedowców typu „Oshio”: 1.500 ton, 34 węzły, 6 dział 127 mm i 8 wyrzutni dla torped nowego typu o kalibrze 609 mm. Znamienne jest zanurzenie tych okrętów wynoszące zaledwie 2,7 m.

Nota anglo - franco - amerykańska, nawołująca rząd japoński do ujawnienia swych zamierzeń co do rozbudowy floty, pozostała bez pozytywnej odpowiedzi. Admiralicja nie zaprzeczyła faktu budowy pancerników o wyporności przekraczającej normy traktatowe, oświadczyła jedynie, że żadne ograniczenia jej nie dotyczą i że każde państwo winno zaspakajać swoje potrzeby obronne według własnego uznania, bez potrzeby usprawiedliwienia się.

Na skutek tego rozpoczęły się w Londynie rozmowy na temat uaktualnienia ostatniego traktatu londyńskiego, ograniczającego wyporność i maksymalny kaliber dział poszczególnych kategorii okrętów. Eksperci angielscy i francuscy dążą do pancerników 40.000 ton, podczas gdy Amerykanie pragną ustalić jako górną granicę 45.000 ton i uzasadniają to faktem, że skuteczne opancerzenie przeciwko pociskom kalibru 406 mm i nowoczesnym ciężkim bombom lotniczym nie da się pomieścić w mniejszym tonażu. Zacznie się więc w tej dziedzinie nowy wyścig, podobnie jak w okresie powojennym, ale z tą różnicą, że szalone postępy techniki nie pozwolą nawet w przybliżeniu określić jakichkolwiek granic. Bo już na łamach prasy fachowej zaczynają się pojawiać plany „idealnych” okrętów liniowych o wyporności ponad 50.000 ton.

DO DNIA 1 MARCA 1938 R.
ZEBRANO NA FUNDUSZ OBRONY MORSKIEJ
W GOTÓWCE I PAPIERACH WARTOŚCIOWYCH

6.440.601.59

Z ŻYCIA ORGANIZACJI

W dniu 27 lutego r. b. odbyło się pod przewodnictwem prezesa J. Kożuchowskiego, posiedzenie Rady Głównej LMK, poświęcone sprawom programowym i budżetowym. Zebranie zajął prezes J. Kożuchowski, który podkreślił w swoim przemówieniu dalszy postęp gospodarki administracyjnej i finansowej LMK od czasu VII-go Walnego Zjazdu, podnosząc równocześnie znaczenie reform przeprowadzonych ostatnio w tej dziedzinie, gdyż poprzedni okres był okresem tak znacznego rozrostu naszej organizacji, że opanowanie tempa rozwoju i uruchomienie odpowiedniego aparatu administracyjnego, było bardzo trudne.

Sprawozdanie z działalności LMK złożył prezes Zarz. Gł. gen. St. Kwaśniewski, zaś sprawozdanie finansowe dyr. T. Darlewski, skarbnik Zarz. Głównego.

Sprawozdanie programowe i finansowe dało dokładny obraz prac Ligi i jej osiągnięć. Dochody organizacji łącznie z funduszami specjalnymi FOM i FAK zamknęły się w r. 1937 sumą około 3.665 tys. zł. Z czego m. in. 38 proc. przeznaczono na akcję obrony morskiej, 14 proc. na akcję kolonialną, 7 proc. na wychowanie młodzieży.

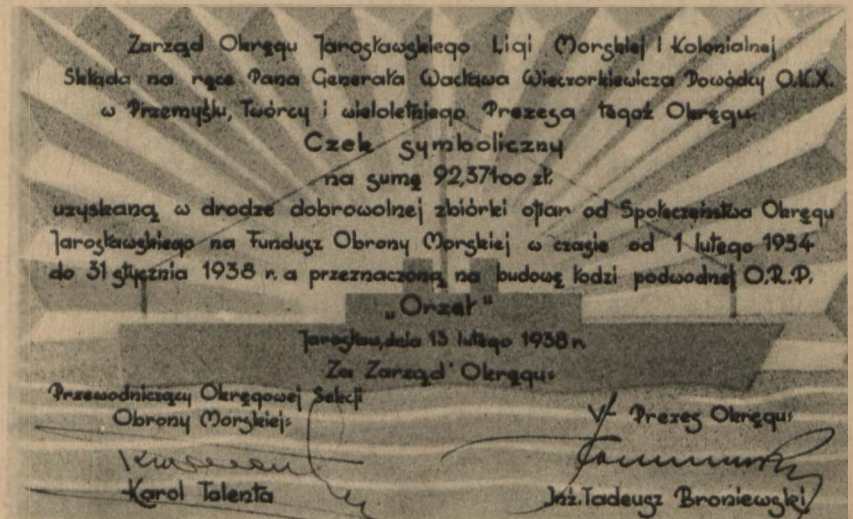
Niezwykle poważną pozycję w rozwoju organizacyjnym Ligi stanowi przyrost członków, który za r. 1937 zamyka się liczbą około 170 tys. członków.

Wraz ze sprawozdaniem z działalności programowej i budżetowej Zarząd Główny przedłożył Radzie do zatwierdzenia uchwały zebrania połączonych prezydów, które odbyło się w grudniu r. ub. pod przewodnictwem prorektora LMK gen. broni K. Sosnkowskiego.

W sprawie programu działalności Ligi na r. 1938 wygłosił dłuższe przemówienie gen. St. Kwaśniewski, który poddał rzeczowej ocenie sytuację morską i kolonialną oraz poruszył konieczność realizacji pewnych problemów przez Ligę Morską i Kolonialną.

I tak w dziedzinie obrony morskiej LMK dążyć będzie w najbliższym roku przez intensywne zbiórki na ścigacze do skonkretyzowania przez czynniki oficjalne programu rozbudowy floty wojennej.

W sprawie akcji kolonialnej Liga przystępuje do organizacji od-



Czek symboliczny wręczony gen. Wieczorkiewiczowi w Jarosławiu

ębnych towarzystw eksploatacyjnych, przy czym szczególną troską otacza zagadnienie opanowywania rynków zamorskich.

Dla celów zarówno kolonialnych, jak i morskich niezmiernie aktualna jest sprawa wychowania młodzieży. W tej dziedzinie Liga nie tylko zajmuje się stroną propagandową - szkoleniową przez rozpoczęcie budowy nowego statku szkolnego, lecz wyznaczyła kilkadziesiąt stypendiów dla młodzieży na studia morskie i kolonialne.

Sprawozdanie programowe i finansowe, preliminarz budżetowy na r. 1938 oraz uchwały zebrania połączonych prezydów zostały zatwierdzone przez Radę Główną.

Rada Główna uchwaliła również nagrodę imienia gen. Orlicz-Dreszera w wysokości 4.000 zł za działalność w realizacji hasła reprezentowanych przez LMK z pierwszeństwem dla akcji kolonialnej na pierwsze 2 lata.

Przebieg zebrania Rady, w którym wzięło udział przeszło 70 osób spośród członków Rady i prezesów Okręgów, był nacechowany troską o realizowanie wielkich założeń LMK z podkreśleniem konieczności prowadzenia czynnej propagandy, stawiającej społeczeństwo wobec realnych zdobyczy.

Dn. 27 lutego odbyła się w salach Stoczni Gdańskiej imponująca manifestacja wielkiego Morskiego Apelu, w której wzięły udział wszystkie polskie organizacje młodzieżowe z całej ziemi gdańskiej.

Przedstawiciel Rządu R. P. p. radca Perkowski wygłosił przemówienie, w którym podkreślił znaczenie młodzieży, która stworzyć winna „zwarte i zdyscyplinowane pokolenie świadome swych celów i obowiązków”. Szereg przemówień zakończony został odezwą Polskiej Rady Młodzieżowej oraz odczytaniem deklaracji, która została jednogłośnie przyjęta.

Akademickie Bratnie Pomoce, Warszawskie Koło Międzykorporacyjne, Konfederacja Jeneralna i Akademicki Związek Morski zorganizowały w Teatrze Narodowym w Warszawie akademię młodzieży, która zgromadziła tłumy młodzieży. Główny referat wygłosił prezes Zarz. Gł. LMK gen. St. Kwaśniewski, który wezwał młodzież do szerzenia w społeczeństwie idei morskiej i kolonialnej. W imieniu młodzieży przemawiał p. Juliusz Sędek. Uchwalono powołać ogólnopolski komitet zbiórki na ścigacz akademicki, a wykonanie uchwały zlecić akademickiemu komitetowi wykonawczemu akademii morskiej.

W dniu 20 lutego r. b. otwarta została w Łodzi Wystawa Morska. Aktu poświęcenia dokonał J. E. ks. biskup Kazimierz Tomczak, otwarcia zaś p. wojewoda łódzki, Aleksander Hauke - Nowak w obecności prezesa Zarządu Głównego LMK gen. Kwaśniewskiego, przedstawicieli władz miejscowych i społeczeństwa. Pierwsza tego rodzaju impreza na terenie woj. łódzkiego o doniosłym zna-

czeniu propagandowym wypadła imponująco.

Wystawa doskonale charakteryzowała zdobycze Polski na morzu, budząc ogromne zainteresowanie dla spraw morskich wśród najszerszych warstw mieszkańców Łodzi i okolic. Świadczą o tym tłumy zwiedzających, młodzieży, robotników, inteligencji. W ciągu trzech tygodni odwiedziło wystawę z górą 30 tysięcy ludzi. Jak na stosunki łódzkie jest to rekord nadzwyczajny i świadczy o popularności haseł, głoszonych przez LMK i o wartości samej Wystawy.

Wystawa mieszcząca się z powodu dużej ilości eksponatów w 2 lokalach podzielona została na nast. działy:

1. Morze — drogą Polski na świat, 2. Port i miasto Gdynia, 3. port i miasto Gdańsk, 4. marynarka handlowa, 5. marynarka wojenna, 6. rybołówstwo morskie, 7. emigracja, 8. morze w handlu zagr. Polski, 9. propaganda morza.

Z okazji Wystawy wygłaszane były odczyty na tematy morskie. Pierwszy odczyt na temat: „Nowoczesna wojna na morzu“ wygłosił w dniu 13 marca r. b. komandor ppor. Konrad Namieśniewski z Kierownictwa Marynarki Wojennej z Warszawy. Drugi odczyt na temat: „Zawód o szerokich horyzontach“, wygłosił w dniu 20 marca dyrektor Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni St. Kosko.

Z okazji pobytu w Łodzi dużej wycieczki dzieci ze szkół Polskiej Macierzy w Gdańsku, które przybyły na zaproszenie m. Łodzi, odbył się dnia 20 lutego poranek muzyczny, na który licznie stawiała się młodzież łódzka. Organizacją akademii zajęła się Sekcja Młodzieżowa Okręgu Łódzkiego, wykonawcami byli słuchaczki i słuchacze Konserwatorium Muzycznego Macierzy Szkolnej w Gdańsku.

Poranek rozpoczęto przemówieniem prez. Zarz. Okr. p. Wilczyńskiego i dłuższą przemową prezesa Zarz. Gł. gen. Kwaśniewskiego, skierowaną do dzieci polskich z Gdańska i do tych Polaków Gdańszczan, którzy stanowią tam ostoję polskości.

Na obydwie przemówienia odpowiedział członek Zarz. Macierzy Szkolnej w Gdańsku p. dyr. Kazimierz Sołtysik, który zapewnił, że Polonia Gdańska nigdy nie zawiedzie w walce i stanowi czynnik odporny na wszelkie zakusy obce. Dziękując za serdecz-

ne przyjęcie przedstawił dyr. Sołtysik wychowanków Macierzy, którzy w poczynaniach swoich ujawniają całkowitą polskość.

W dniu rocznicy odzyskania dostępu do morza urządzono w Okręgu Jarosławskim akademię o bardzo urozmaiconym programie. W czasie tej akademii Zarząd Okręgu wręczył gen. Wiczorkiewiczowi symboliczny czek na sumę 92.371 zł. zebraną przez Okręg na FOM. Należy podkreślić bardzo liczny udział młodzieży w tych uroczystościach.

Wołyń pokrywa się coraz gęstszą siecią placówek LMK. Hasła LMK docierają do strzech wieśniaczych i tak powstały nowe Oddziały: w Werbie, Młynowie, Warkowiczach, Kniakininie, Boremli — wszystkie w powiecie Dubieńskim. Oddziały te liczą razem blisko 700 członków.

Główny Komitet uczczenia ś. p. gen. Gustawa Orlicz-Dreszera, dążąc do uwiecznienia wielkich zasług gen. Orlicz-Dreszera, zainicjował urządzenie akademii ku czci Zmarłego w rocznicę odzyskania dostępu do morza w r. 1937r.

W rezultacie tej inicjatywy odbyło się w roku ubiegłym ponad tysiąc akademii, wieczorów i odczytów. Również w ciągu roku ubiegłego nazwano szereg ulic, nabrzeży, parków, placów imieniem generała Orlicz-Dreszera, oraz wbudowano tablice pamiątkowe.

Realizując plany wzniesienia na grobie ś. p. generała Gustawa Orlicz-Dreszera pomnika-symbolu naszego trwania na wybrzeżu, Komitet rozpoczął już prace przy budowie mauzoleum na Oksywiu.

Na ten cel zebrano do chwili obecnej od ogień i członków LMK 22 tysiące złotych, poza LMK 90 tysięcy złotych.

Komitet Uczczenia apeluje gorąco do wszystkich, by zechcieli przyczynić się do powstania pomnika, który zespoliłby nas z naszym wybrzeżem i dla przyszłych pokoleń byłby bodźcem w pracy i walce o wielkość narodu i Państwa Polskiego.

Stosunki między Ligą Morską i Kolonialną a Ligue Maritime Belge zacieśniły się znacznie. Dowodem tego był wyjazd naszej delegacji w roku 1936 na Tydzień

Morski do Ostendy oraz w roku 1937-ym udział delegata belgijskiego p. José w uroczystościach Tygodnia Morza. W marcu r. b. prezes Belgijskiej Ligi Morskiej p. Paul Ramlot, odwiedził Polskę i złożył wizytę Prezesowi Zarządu Głównego gen. St. Kwaśniewskiemu. Następnie prezes Ramlot w towarzystwie p. dra Felde, oraz p. E. José, złożył wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza. W uroczystości tej wzięli udział delegaci LMK oraz poczty sztandarowe.

W czasie swego pobytu w Polsce Prezes Ramlot wręczył odznaki i dyplomy Medalu Honorowego Ligue Maritime Belge kilku działaczom LMK. Ze swej strony LMK nadała prezesowi Ramlot Złoty Medal „XV-lecia odzyskania dostępu do morza“. Z okazji tej gen. Kwaśniewski wygłosił przemówienie, kończąc je słowami: „W dzisiejszym czasie, gdy wszystko jest płynne i zmienne, tym cenniejsze są osobiste kontakty przedstawicieli społeczeństw, których nic nie dzieli, a wszystko łączy, które ożywiają wspólne umiłowanie wolności i pokojowej pracy“.

Przypomnieć należy, że Belgijski Medal Honorowy LMB otrzymali uprzednio: ś. p. gen. Orlicz-Dreszer oraz Prezes gen. St. Kwaśniewski, który został udekorowany dnia 11 stycznia r. b. przez delegata LMB — p. José, przy czym ceremonii tej asystowali Minister Paternotte de la Vaillée i dyr. dr Felde z ramienia Academie de la Marine. Ministrowi Paternotte de la Vaillée został wręczony przez LMK złoty medal XV-lecia morza w dniu 23.XII. roku ubiegłego.

Wyjaśnienie: W związku z otrzymanym przez Redakcję listem w sprawie formy uczczenia pamięci gen. Dreszera, wyjaśniamy, że FOM nie prowadzi bynajmniej akcji zbiórki na pomnik gen. Dreszera. Zajmuje on się wyłącznie pracami wynikającymi już z samej jego nazwy „Fundusz Obrony Morskiej“. Zbiórkę na pomnik gen. Dreszera natomiast prowadzi specjalnie powołany w tym celu Komitet Uczczenia Pamięci gen. Dreszera z FOM nie mający nic wspólnego.

Sprostowanie: W numerze 3-im b. r. „Morza“ w dziale „Z życia organizacji“ w sprawozdaniu z pracy Oddziału Kobiet LMK zamieszczono omyłkowo, że szkołą powszechną w Skarszewach opiekuje się Koło Kobiet przy Elektrowni Miejskiej w Gdyni — zamiast: Koło Kobiet przy Elektrowni Miejskiej w Warszawie, co niniejszym prostujemy.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Madagaskar — kraj, ludzie, kolonizacja

Nakładem Towarzystwa Wydawniczego „Rój” ukazała się przed paru tygodniami na półkach księgarskich obszerna i wyczerpująca praca majora M. B. Lepeckiego o Madagaskarze.

Książka ta, obejmująca 311 stron druku — zaopatrzona jest w szereg zdjęć fotograficznych ilustrujących kraj, ludzi i życie tej olbrzymiej wyspy, oraz zawiera tablice, które uzupełniają informacje o Madagaskarze z zakresu meteorologii, produkcji, rozmieszczenia ludności, handlu wyspy ze światem itd., oraz mapy wyspy i jej poszczególnych rejonów.

Autor, jak wiadomo, był przewodniczącym specjalnej komisji wyłonionej przez Rząd dla zbadania możliwości osadniczych na Madagaskarze. Z pracy tej widać, że autor gruntownie zapoznał się z faktycznym stanem rzeczy na Madagaskarze, opisując rzeczowo i przejrzysto najbardziej mogące nas w Polsce interesować sprawy tej ze wszech miar ciekawej wyspy.

Autor szczegółowo omówił zagadnienia klimatyczne tego kraju, a przede wszystkim te obszary, które mogłyby nadawać się na osadnictwo białego człowieka i jego tam zaaklimatyzowanie. Również obszernie i wyczerpująco omówiona jest historia wyspy, oraz rola, jaką tam odegrał przed stu kilkudziesięciu laty nasz sławny podróżnik, konfederat barski, Maurycy Beniowski; rzeczowo i sumiennie również omówił w swej książce mjr. Lepecki sprawę gleby, produkcji, hodowli, oraz drogi komunikacyjne. Także i administracja wyspy, jej przemysł i handel znalazły dostateczne miejsce, aby czytelnika wprowadzić w sedno spraw Madagaskaru.

Pracę majora Lepeckiego napisaną językiem żywym i jasnym — czyta się lekko i uzyskuje wiadomości syntetyczne, orientujące w zagadnieniu tego kraju wyraźnie i dokładnie.

Z prac polskich na tematy kolonialne, książkę majora Lepeckiego potraktować należy jako jedną z pierwszych w ogóle w literaturze kolonialnej polskiej. Niestety w piśmiennictwie polskim ukazują się za mało prac traktujących o poszczególnych terenach kolonialnych.

Toteż „Madagaskar” mjr. Lepeckiego powinien się znaleźć w bibliotekach tych wszystkich, którzy się interesują naszymi zagadnieniami kolonialnymi i osadniczymi.

Dr W. R.

Słownik morski

Ukazały się nakładem Wojskowego Instytutu Naukowo-Oświatowego nowe zeszyty wydawnictwa, opracowanego przez Komisję Terminologiczną Morską przy Polskiej Akademii w Krakowie, p. t. „Słownik Morski” (polsko - angielsko - niemiecko - rosyjski). Są to mianowicie: Zeszyt piąty — „Nawigacja”, pod redakcją G. Kańskiego i A. Reymana (cena zł 12.—) oraz zeszyt szósty — „Praktyka Morska” pod redakcją gen. M. Zaruskiego (cena zł 8.—).

W roku 1929 Wojskowy Instytut Naukowo-Oświatowy przystąpił do wydania zeszytami dzieła opracowanego przez najwybitniejsze siły fachowe i obejmują-

cego całokształt słownictwa morskiego.

Po czterech początkowych zeszytach słownika, traktujących o „Statkach i teorii Statku”, „Statku żelaznym”, „Statkach żaglowych, masztach, linach, żaglach” oraz „Portach morskich”, W. I. N. O. wydał dalsze dwa, a mianowicie „Nawigację” i „Praktykę morską”.

Śląsk i Pomorze

Nakładem Wojskowego Instytutu Naukowo - Wydawniczego wyszła z druku praca A. Plutyńskiego p. t. „Śląsk i Pomorze”. Autor daje obraz dwóch prastarych ziem lechickich Śląska i Pomorza, które odgrywały wielką rolę w państwowym życiu Polski. Mówiąc o czasach obecnych uwydatnia autor wielki rozmach życia gospodarczego na Śląsku i Pomorzu.

Praca zawiera bogatą treść, dostarczając wyczerpujących wiadomości dla szerokiego ogółu, spełniając tym samym rolę propagandy na rzecz tych ziem. W pracy zamieszczono kilka rycin i mapkę.

WIADOMOŚCI GOSPODARCZE

Obroty towarowe portu gdyńskiego za miesiąc luty r. b. wyniosły ogółem 677.405 ton, z czego na obroty zamorskie przypada 674.257,8 ton. Z tej ostatniej cyfry na przywóz przypada 138.265,5 ton, a na wywóz — 535.992,3 ton. Obroty przybrzeżne łącznie z w. m. Gdańskiem wyniosły 855,3 ton, a obroty z wnętrzem kraju drogą wodną — 2.292,6 ton. W porównaniu do miesiąca lutego r. ub. ogólne obroty towarowe portu gdyńskiego za miesiąc sprawozdawczy wzrosły o 65.410,9 ton.

W ciągu lutego r. b. ruch statków w porcie gdyńskim wyniósł 890 jednostek o łącznej pojemności 858.043 t. r. n., z czego weszło 452 statki o pojemności 433.109 t. r. n., a wyszło 438 statków o pojemności 424.934 t. r. n.

Pierwsze miejsce zajęła bandera szwedzka (218 statków — 118.708 t. r. n.), drugie — polska (109 statków — 106.413 t. r. n.), trzecie — duńska, czwarte — włoska, piąte — fińska; dalej szły bandery: niemiecka, angielska, norweska, grecka, łotewska, Stanów Zjednoczonych A. P., estońska, sowiecka, gdańska, holenderska, panamska, rumuńska i wre-

szcie francuska (1 statek — 1.182 t. r. n.).

Średni tonaż statku, przebywającego w Gdyni, wyniósł 958,2 t. r. n., przeciętnie było w porcie jednocześnie 51 statków; średni postój statku — 55,6 godz.

W tym samym czasie ruch statków w porcie gdańskim wyniósł ogółem 763 statki o łącznej pojemności 548.794 t. r. n., z czego weszło 380 statków o pojemności 278.626 t. r. n., a wyszło 383 statki o łącznej pojemności 270.168 ton. Pierwsze miejsce zajęła, podobnie jak w porcie gdyńskim, bandera szwedzka, na drugim stała bandera niemiecka, na trzecim — duńska, na czwartym — angielska, na piątym — grecka, na szóstym — norweska. Bandera polska zajęła siódme miejsce.

Tonaż polskiej floty handlowej jest stosunkowo młody, gdyż grupa statków, których wiek nie przekracza 10 lat, stanowi 52 procent ogólnego tonażu. Statków tych jest 31 jednostek o łącznej pojemności 50.163 t. r. b. i 27.321 t. r. n., podczas gdy statków w wieku średnim, od 10 do 20 lat jest 26 jednostek o łącznej pojemności 20.127 t. r. b. i 11.432 t. r. n.; statków starszych, w wieku od 20



WKŁADKA
miesięcznie zł 5,-

PREMIE
*po zł 500,- 250,- 100,- i 50,-
za systematyczne oszczędzanie*

**PREMIE
SPECJALNE**
za wytrwałość w oszczędzaniu

KAPITAŁ
po 9 1/2 latach wynosić będzie zł 600,-

do 30 lat, jest 24 jednostki o łącznej pojemności 27.116 t. r. b., a 16.060 t. r. n., ale i te statki dzięki gruntownemu remontowi i starannej obsłudze spełniają jeszcze dobrze swoje zadanie.

Obecnie w budowie jest 14 jednostek o łącznej pojemności około 39.060 t. r. b. tak, że niebawem procentowy udział statków młodych w polskiej flocie handlowej wzrośnie do 64 proc. Z 14 nowych statków 4 budowane są dla Linii Żeglugowych Gdynia — Ameryka, przy czym dwa z nich mają służyć, jako statki emigracyjne, pasażersko - towarowe, dla obsługi linii, łączącej Gdynię z Ameryką Południową. Jeden z nich o pojemności 11.300 ton budowany jest w Anglii, drugi o pojemności 10.800 ton w Danii. Są to motorowce obliczone na 1.000 pasażerów i 4.000 ton ładunków każdy. Stocznia gdańska buduje 2 statki po 4.660 t. r. b., które pod nazwą „Łódź” i „Bielsko” mają obsługiwać tzw. linię bawelnianą Gdynia — porty zatoki meksykańskiej. W Gdańsku również zbudowana została ostatnio krypa do bunkrowania ropy o pojemności 330 ton dla Polminu. Jedna ze stocznii fińskich wykańcza dla Żeglugi Polskiej 2 statki motorowe po 1.000 ton. Statki te nosić będą nazwę „Rozewie” i „Oksywie”, a obsługiwać będą linię

bałtycką. W Anglii buduje się statek o pojemności 1.600 ton, zamówiony przez Polsko - Brytyjskie Towarzystwo Okrętowe dla przewoźu drzewa; w Anglii również buduje się tramp węglowy Robur VIII o pojemności 2.800 ton dla Polsko - Skandynawskiego Towarzystwa Transportowego. Stocznia gdańska przystępuje do budowy statku o pojemności 1.200 ton dla Żeglugi Polskiej oraz statku rybackiego dozorczo - badawczego.

Pomyślnie również przedstawia się rozwój polskiej floty rybackiej, która liczy obecnie 190 kutrów i łodzi motorowych o mocy 6.643 KM, 15 ługrów śledziowych o mocy 850 KM oraz 3 tralery parowe o mocy 1.900 KM. Warto zaznaczyć, że w r. 1920 cała flota rybacka liczyła zaledwie 61 kutrów motorowych, 13 żaglowych i 4 motorówki. Obecnie ponadto Min. Przemysłu i Handlu, realizując plan rozbudowy i unowocześnienia floty rybackiej, zamówiło na stoczniach niemieckich 5 motorowych ługrów rybackich o łącznej pojemności około 1.250 ton, a stocznia gdańska wykańcza 2 ługry o pojemności około 300 ton.

W związku z rozwojem rybołówstwa morskiego, zwiększyła się ilość rybaków do 2.000 i rozwinął się przemysł i handel ry-

bami. Na wybrzeżu jest obecnie czynnych 53 wędzarnie z 511 piecami oraz 26 firm, handlujących rybami.

W przeciągu miesiąca lutego r. b. polskie połowy morskie dały ogółem 238.420 kg ryb wartości 107.868 złotych, z czego na rybolówstwo przybrzeżne przypada 58.710 kg wartości 31.407 złotych, na połowy pełnego Bałtyku 46.670 kg wartości 10.830 złotych, na połowy dalekomorskie— 133.040 kg wartości 65.631 złotych. Główną pozycję w połowach przybrzeżnych stanowiły dorsze, których złowiono 26.600 kg, dalej flądry — 17.310 kg, ceraty — 4.670 kg i płotki 6.060 kg. Ponadto złowiono drobne ilości łososi, okoni, szczupaków i węgorzy. Dorsze stanowiły również główną pozycję połowów na dalszych wodach Bałtyku, gdzie złowiono ich 17.050 kg, na drugim miejscu stały szproty, których złowiono 15.100 kg, dalej śledzie — 13.900 kg i wreszcie flądry — 620 kg. Rybacy przygotowują się już do połowów łososi, które w porze wiosennej trzymają się bardzo blisko powierzchni wody i żerują w pobliżu brzegów.

W przeciągu miesiąca lutego r. b. zamorski ruch pasażerów w

porcie gdyńskim wyniósł 2.353 osób, z czego przyjechało 288 osób, a wyjechało 2.065 osób. Największy ruch pasażerów zanotowano między Gdynią a Stanami Zjednoczonymi A. P., Francją, Argentyną, Urugwajem, Anglią oraz Brazylią.

Na wiosnę r. b. w porcie rybackim w Wielkiej Wsi rozpocznie się budowa pierwszego magazynu o kubaturze około 4.000 m. sześć. W roku bieżącym przystępuje się również do budowy kolonii rybackiej oraz budynków administracji portowej.

Urządzenia przeładunkowe portu gdyńskiego zyskują coraz nowe dźwigi. Ostatnio na nabrzeżu Czechosłowackim w strefie wolnocłowej zmontowano 3 dźwigi portalowe o nośności 3,5 ton. Ponadto na nabrzeżu Rumuńskim rozpoczęto montaż 8 dźwigów półportalowych o nośności 3 ton, z których 4 mają obsługiwać nabrzeże Rumuńskie, a 4 nabrzeże Stanów Zjednoczonych.

W dniu 15 marca r. b. Sejm przyjął rządowy projekt ustawy o robotnikach portowych. Nowa ustawa daje robotnikom portowym w Gdyni cały szereg korzyści, a jednocześnie wprowadza większe możliwości doboru kwalifikowanych robotników, zwiększa kompetencje komisji kwalifikacyjnej, zwiększając tym samym

zdolność konkurencyjną portu gdyńskiego.

Z ogłoszonego ostatnio sprawozdania Banku Gdańskiego wynika, że import Gdańska wyniósł w r. 1937 ogółem 171,8 milionów guldenów, podczas gdy w r. 1936 — 155,2 milionów guldenów. W r. 1937 Gdańsk sprowadził z Polski dla własnych potrzeb towarów za 127,1 milionów guldenów, z Niemiec za 25,2 milionów guldenów, z Anglii za 10,5 milionów guldenów, z pozostałych krajów za 9 milionów guldenów. Sprawozdanie stwierdza ponadto, że w r. 1937 zwiększył się bardzo przeładunek węgla i drzewa w porcie gdyńskim, a zmalał wywóz zbóż chlebowych.

Ogłoszono również dane, dotyczące kierunku ruchu towarowego przez port gdański w czwartym kwartale r. ub. Z danych tych wynika, że najważniejsze towary, przechodzące przez port gdański, kierowane były do 66 krajów europejskich i pozaeuropejskich. W przywozie rud i pirytów, wynoszącym za ten okres 328,8 tysięcy ton, góruje Szwecja, skąd przybyło 278,9 tys. ton, dalej idzie Norwegia, Algier i Sierra Leone. Przywóz materiałów opałowych pochodził prawie wyłącznie z Niemiec, skąd również szedł siarczan amonu, makuchy z Danii, fosforyty z Marokka i Stanów Zjednoczonych, garbniki z Argentyny.

Natomiast w wywozie węgiel był kierowany w 33 proc. do Szwecji, w 26 proc. do Francji, reszta do Italii, Danii i Belgii. Odbiorcą drzewa była głównie An-

gla, dokąd poszło 72 proc. eksportu tego materiału. Zboże poszło głównie do Belgii, Niemiec, Holandii i Szwajcarii, pasza dla bydła do Danii i Finlandii, melasa do Stanów Zjedn. A. P., nawozy sztuczne, głównie do Szwecji, Finlandii i Norwegii. Głównymi odbiorcami żelaza i cynku oraz wyrobów metalowych były Szwecja, Holandia, kraje bałtyckie oraz Palestyna i Egipt.

Po kilkuletnim zastoju nastąpiła modernizacja floty pasażerskiej pracującej na Północnym Atlantyku, mianowicie w 1935 r. uruchomiono dwa nowoczesne statki, francuski „Normandie” i angielski „Queen Mary”, znanych współzawodników o „Niebieską wstęgę”. Armatorzy statku „Queen Mary”, budując podobny statek tylko nieco jeszcze większy „Queen Elizabeth” i „Mauretanie”, pojemności 35 — 40 tys. ton. Wśród budujących się statków, przeznaczonych na obsługę Północnego Atlantyku, należy wymienić holenderski „Nieuw Amsterdam” (około 35 tys. ton), amerykański statek typu „Maithan” (około 30 tys. ton), szwedzki „Stockholm” (około 28 tys. ton) i norweski „Oslofjord” (około 17 tys. ton).

W niemieckich kołach żeglugowych rozważana jest również sprawa budowy trzech nowoczesnych statków pojemności około 30 tys. ton każdy, gdyż ich statki „Bremen” i „Europa”, a szczególnie „Deutschland”, „Hansa”, „Hamburg” i „New York” są już stosunkowo stare.

CHANTIERS & ATELIERS

AUGUSTIN-NORMAND

LE HAVRE (FRANCJA)

BUDOWA OKRETÓW WOJENNYCH

I STATKÓW HANDLOWYCH

SPECJALNOŚĆ: Budowa łodzi podwodnych wszelkie środki i przyrządy do wylawiania min.

Motory Diesel'a wszelkich mocy stałe i morskie

ZALOŻONE w r. 1728.

**SIEDZIBA: 81, BOULEVARD FRANCOIS I-er
LE HAVRE—FRANCJA.**



Palaki stawiacz min „GRYP”

zaraz po spuszczeniu na wodę w dn. 12 kwietnia 1937 r.

Używajcie na morzu

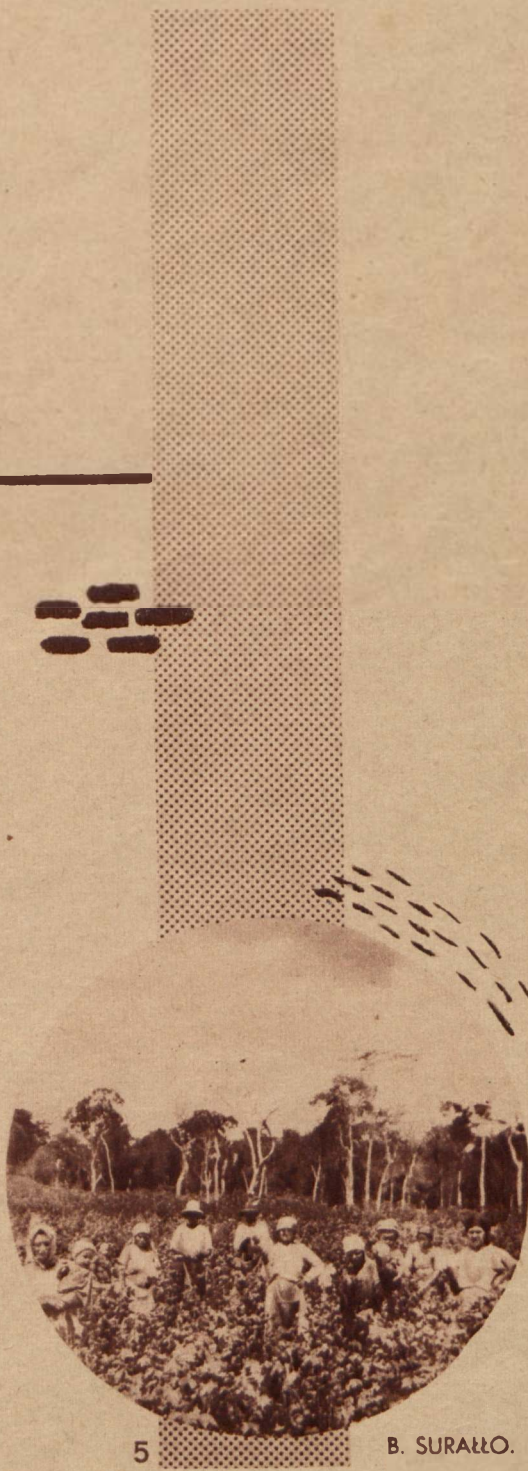
„ZAPALKI SZTORMOWE”

nie gasnące na wietrze



Puszczą plonie; to człowiek wdzierą się w szumiące dzikością gąszcze leśne. Ogień toruje człowiekowi drogę. A potem na miejscu tych obszarów leśnych ciągną się pola uprawne, wyrastają siedliska ludzkie. Człowiek ujarzmił puszcze i ziemię,— która daje mu odtąd plon bogaty.

Na ilustracjach kolejne etapy prac polskich kolonistów w Brazylii przy przygotowaniu terenów pod uprawę: 1) fragment puszczy; 2) teren po wyрубie przed spalaniem; 3) wypalanie puszczy; 4) dom kolonisty polskiego; 5) zbiór bawełny.



5

B. SURALLO.

Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

620.00

2595

1938
3

CZASOPISMA

